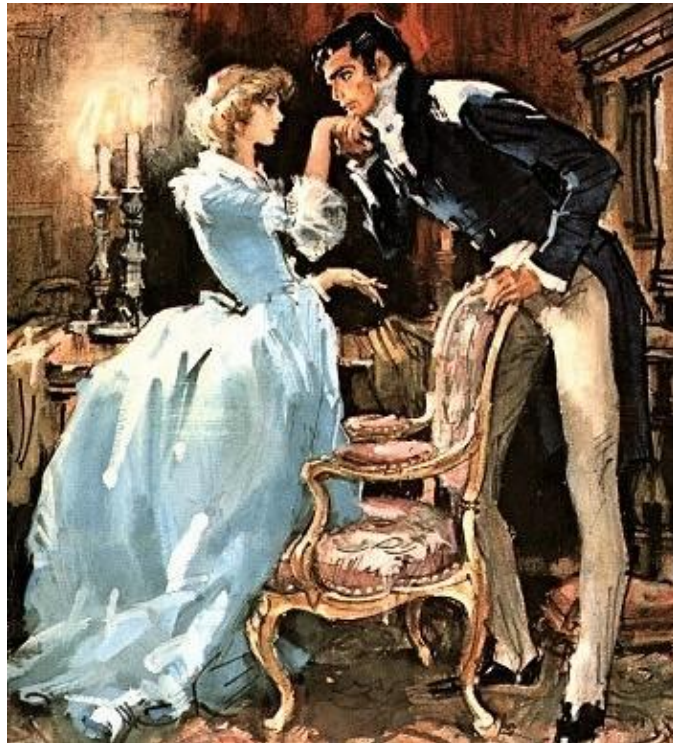


Barbara Cartland

Nauczycielka z wyboru

Temptation of a Teacher



Rozdział 1

ROK 1886

Bardzo mi przykro, panno Arletto. Obawiam się, że zostało bardzo mało czasu.

- Bardzo mało, panie Metcalfe.

Arletta Cherrington - Weir westchnęła ciężko i zamyślona patrzyła w dal.

Pan Metcalfe, skrupulatny prawnik w średnim wieku, uczyniłby wszystko, żeby odpędzić od niej wszelkie troski. Znał ją od dziecka, widział jak dorastała i ładniała z każdym dniem. Był przekonany, że nie ma na świecie piękniejszej dwudziestolatki, tak skromnej i nieświadomej własnego uroku.

Przez ostatnie dwa lata Arletta opiekowała się swoim ojcem, hrabią Weir, który w końcowych latach życia stał się kłótliwym, nieprzyjemnym staruszkiem. Nie życzył sobie, aby zajmował się nim ktokolwiek poza Arletta, chociaż lekarze i wszyscy wokół byli pewni, że pielęgniarki nie ośmieliłyby się traktować w taki sposób, w jaki obchodził się z własną córką.

Z drugiej strony, w spokojnych hrabstwach Anglii trudno było znaleźć wykwalifikowaną pielęgniarkę, szczególnie we wsiach, gdzie nie było warunków do wykonywania tego zawodu. Jedynymi opiekunkami były wiejskie akuszerki, najczęściej stare i otyłe, nie żałujące sobie dżinu podczas długich godzin nocnych, aby odgonić sen w oczekiwaniu na przyjęcie dziecka.

Ojciec Arletty cierpiał nie tylko z powodu niezwykle bolesnych ataków serca, lecz także z powodu artretyzmu. Pił przy tym, pomimo zakazu lekarzy, zbyt duże ilości wina.

- Skoro już mam umrzeć - mawiał czasami ze złością - mogę sobie chyba pozwolić na odrobinę przyjemności, która da mi zapomnieć o moim podłym stanie.

Arletta już dawno zrezygnowała z prób wyperswadowania mu czegokolwiek. Zgadzała się ze wszystkim co mówił. Ale taka postawa również mu nie odpowiadała - twierdził, że Arletta jest tępa i ospała. Był bardzo rozczarowany, że nie doczekał się syna, który odziedziczyłby po nim hrabstwo. Jednak gdy miał lepszy nastrój, widać było, jak bardzo kocha swoje jedyne dziecko. Posiadłość miała przypaść w spadku bratankowi, którego nie lubił. Kuzyn Hugo nie przypadł do gustu także Arletcie. Według niej był młodzieńcem pyszałkowatym, uważającym, że świetnie sobie poradzi z zarządzaniem hrabstwem, nie słuchającym żadnych sugestii ze strony stryja ani jego córki.

Minęły dwa tygodnie od śmierci ojca i Arletta dowiedziała się właśnie, że jej stryjeczny brat ma zamiar natychmiast wprowadzić się do Weir House, a ona razem ze swoimi rzeczami powinna opuścić posiadłość jak najszybciej.

To był problem, ponieważ, jak powiedziała panu Metcalfe'owi, nie wiedziała, dokąd pójść.

- Ależ musi znaleźć się jakiś krewny, u którego mogłaby pani zamieszkać - powiedział z wymówką w głosie. - Może też pani mieszkać w domu posagowym.

- Wiem o tym - odpowiedziała. - To bardzo miło ze strony kuzyna Hugo, że mi go zaproponował, ale dobrze pan wie, że nie mogłabym zamieszkać tam sama - westchnęła. - Poza tym nie wiem, czy zniosłabym widok Weir House pod jego rządami.

- Jestem pewien, że podejmie pani mądrą decyzję i wyprowadzi się stąd - powiedział cicho pan Metcalfe. - Szkoda tylko, że nie została pani przedstawiona na dworze, jak należało rok temu. No i nigdy nie odbył się bal na pani cześć, na który czekała pani z niecierpliwością jeszcze podczas nauki.

Arletta uśmiechnęła się,

- Zawsze marzyłam o wspaniałym balu w Weir House. Mama opowiadała mi o nim jeszcze w dzieciństwie. Mówiła, że będzie najokazalszy w całym hrabstwie, podobny do tych, które kiedyś urządzał mój dziadek.

Dziadek Arletty, trzeci hrabia Weir, znany był z hulaszczego trybu życia, podczas którego roztrwonił majątek i popadł w długi. Ojciec Arletty usiłował przywrócić dawną świetność posiadłości, dbał o grunty, pilnował, aby farmerzy płacili podatki i karał rozrzutność. Jednak nie był w stanie odzyskać funduszy płynących z podatków od ulic i placów londyńskich, które kiedyś zostały lekkomyślnie sprzedane za nędzne pieniądze, nie wspominając o innym roztrwonionym kapitale, ulokowanym w inwestycjach, które w krótkim czasie miały dać duże dochody. Nie trzeba dodawać, że nigdy nie przyniosły żadnych zysków.

Tymczasem ojciec Arletty poważnie się rozchorował. Zbiegło się to z ukończeniem przez nią nauki. Wszelkie rozrywki i planowane przyjemności zostały odłożone na później. Schorowany ojciec nie był miły dla gości, którzy współczuli jemu i jego córce. Z dnia na dzień stawali się coraz bardziej osamotnieni. Mieszkali w ogromnym domu, pamiętającym czasy wspaniałych zabaw, komnat wypełnionych gośćmi, gdzie każdy mógł znaleźć dla siebie coś interesującego.

Gdy hrabia nie mógł już o własnych siłach utrzymać się na koniu, przestały też być potrzebne wyżły myśliwskie. Oddano je innemu właścicielowi ziemskiemu w hrabstwie. Uroczystą letnią fetę - jedną z większych atrakcji w majątku - przeniesiono gdzie indziej, podobnie jak zawody łucznicze, których nie organizowano już na zielonych, rozległych trawnikach Weir House.

Wydawało się, że w oczekiwaniu na śmierć hrabiego, cały majątek spowiła mgła przygnębiającego smutku.

Dzięki troskliwości córki żył dłużej niż przewidywano. A teraz kiedy odszedł, uwolnił od siebie Arlettę. Miała wreszcie szansę rozpocząć nowe życie, jak optymistycznie przewidywał pan Metcalfe.

- Przemyślmy to rozsądnie - zaczął praktycznym tonem. - Znam wszystkich pani krewnych i myślę, że nie weźmie mi pani za niegrzeczność, jeśli ośmielę się zaproponować któregoś z nich. Mam nadzieję, że wybrana osoba zapewni pani troskliwą opiekę i uczyni panią szczęśliwą.

- Ależ oczywiście, drogi panie Metcalfe, będę bardzo wdzięczna za wszelkie sugestie - odrzekła Arletta. - Ale wie pan dobrze, że w Anglii mam niewielu krewnych.

Najmłodszy brat hrabiego sprawował funkcję gubernatora Chartumu. Nie był żonaty i wydawało się nieprawdopodobne, aby zgodził się zamieszkać z bratanicą, nie wiadomo jak długo w odosobnionym i niespokojnym miejscu.

Jedyna ciotka Arletty została żoną gubernatora północno - zachodnich prowincji Indii. Miała trzy córki i własne problemy z nimi związane. Na pewno nie zechce wziąć na siebie odpowiedzialności także za Arlettę.

- Co pani sądzi o kuzynce Emily? - zapytał pan Metcalfe po dłuższym zastanowieniu.

Arletta krzyknęła przerażona.

- Nie będę mieszkać z kuzynką Emily, panie Metcalfe ! To byłaby bardzo niewłaściwa decyzja. Przecież pan wie, że ona akceptuje jedynie zajęcia poważne, doniosłe. Nienawidzi takich przyjemności jak taniec, śpiew czy nawet cudze szczęście. Nie wyobrażam sobie nic bardziej przygnębiającego niż przymus zamieszkania z kuzynką Emily! Pan Metcalfe zaśmiał się.

- Zgadzam się z panią, panno Arletto, musimy w takim razie poszukać kogoś innego.

- Ale kogo? - westchnęła - Zawsze żałowałam, że nie poznałam żadnych krewnych ze strony babci. Byli Francuzami i chyba nie przyjeżdżali do Anglii. A ja, choć noszę jej imię, też nigdy nie byłam we Francji -

- Zapomniałem o tym - przyznał cicho pan Metcalfe. - Oczywiście, Arletta to francuskie imię.

- Wszyscy mi mówili, że tak miała na imię matka Wilhelma Zdobywcy - ciągnęła Arletta. - Babcia pochodziła z Normandii, dlatego miała jasne włosy i niebieskie oczy. A ja wyglądam trochę jak Angielka i trochę jak Francuzka.

Pan Metcalfe roześmiał się.

- Muszę pani wierzyć na słowo, panno Arletto. Zawsze myślałem, że Francuzki mają ciemne oczy i włosy.

- Nie, jeśli tylko pochodzą z Normandii - odpowiedziała z dumą Arletta. - Kogo, oprócz nie znanych mi krewnych babci z Francji, mamy tu, w Anglii?

- Panią Travers - zaproponował pan Metcalfe. Arletta zrobiła kwaśną minę.

Pani Travers rzadko odwiedzała Weir House i sama wyznaczając czas wizyt, nie respektując przy tym zaproszeń. Była w średnim wieku i nieustannie uskarżała się na jakieś dziwne dolegliwości, nad którymi głowili się lekarze. Arletta już dawno doszła do wniosku, że kuzynka Alicja po prostu nie ma co robić. Miała dość pieniędzy, aby zapewnić sobie wszelkie wygody, ale nie miała dzieci i dlatego całą uwagę poświęcała własnej osobie. Mogła spędzać wiele miesięcy w Harrogate, potem w Cheltenham, by wreszcie stwierdzić, że żaden z kurortów nie przyniósł oczekiwanej poprawy. Jechała więc dla odmiany do gorących źródeł w Bath lub Baden - Baden albo do wód mineralnych w Aix - les - Bains.

Arletta czuła, że po dwóch latach cierpienia z uciążliwym, chorym ojcem nie miałyby już sił ani ochoty borykać się z podobnymi problemami, gdy zamieszka z kuzynką Alicją.

Pan Metcalfe uważnie obserwował twarz Arletty.

- Widzę, że wykluczamy także panią Travers - powiedział zdecydowanie. - W takim razie kogo jeszcze możemy brać pod uwagę? - rozmyślał głośno.

- Zastanawiałam się nad tym, zanim pan tu przyjechał - powiedziała Arletta. - Aż trudno uwierzyć, że w tak szanowanej rodzinie jak nasza, zostało nam tak niewiele możliwości.

- Musi ktoś być - pan Metcalfe był wyraźnie zdesperowany.

- Mamy jeszcze rodzinę w północnej Szkocji - rozmyślała Arletta - i podobno dalszych krewnych mieszkających w Irlandii, ale wątpię, żeby chcieli mnie widzieć u siebie, skoro papa ignorował ich tak długo.

Arletta miała rację, w takiej sytuacji nie było sensu zaprzętać sobie nimi głowy.

Pan Metcalfe rysował coś machinalnie nie odzywając się. Usiłował odtworzyć w myślach imponujące drzewo genealogiczne, które wisiało w korytarzu wiodącym do biblioteki.

Nagle Arletta podniosła się z krzesła.

- Nie ma sensu zamartwiać się w tej chwili - rzekła. - Przeniosę swoje rzeczy do domu posagowego do czasu, gdy zdecyduję, dokąd się udać.

- Moim zdaniem, powinna pani zostać w Londynie - zasugerował pan Metcalfe. - Mamy początek lata i chociaż jest pani w żałobie, ludzie powinni widzieć, że umie się pani znaleźć w towarzystwie.

- Uważa pan, że jestem w żałobie - odrzekła Arletta - ale proszę sobie przypomnieć, że papa podpisując testament zaznaczył wyraźnie, iż nie życzy sobie, aby ktokolwiek nosił po nim żałobę i ubierał się na czarno. Twierdził, że największą przyjemność sprawi mu jedynie rychła śmierć!

Pan Metcalfe własnoręcznie podpisywał testament. Znał hrabiego i wiedział, że coś takiego istotnie mogło paść z jego ust, choć było raczej w złym guście. Teraz, w ustach jego pięknej córki, zabrzmiało niemal okrutnie.

- Nikt nie pracowałby dla niego ciężiej niż pani - powiedział cicho. - Wiem, że chciała mu pani ofiarować jak najwięcej w ostatnim roku życia, i wiem też, że był dość nieznośnym pacjentem.

- To prawda - przytaknęła Arletta i niespodziewanie roześmiała się. - Lekarze nie mogli sobie z nim poradzić, ja zresztą też. Wydaje mi się, że jedyną przyjemnością w jego wielkim cierpieniu było przeciwstawianie się nam. Robił dokładnie coś przeciwnego niż mu się kazało.

- Mnie się wydaje, że ś.p. hrabia w ogóle miał buntowniczą naturę - westchnął pan Metcalfe.

- Mam nadzieję, że ja także ją mam - zauważyła Arletta.

Pan Metcalfe spojrzał na nią zdumiony.

- Nie zamierzam pograć się w depresji i uzalać nad sobą. Teraz, gdy jestem już wolna, mam zamiar rozpocząć normalne życie.

Nie musiała wyjaśniać panu Metcalfe, że opieka nad ojcem w ogromnym, pustym, ponurym domu, gdzie nie miała do kogo ust otworzyć, to dla młodej dziewczyny stracony czas.

- Ma pani absolutną rację - powiedział głośno. - Trzeba sobie teraz umilić życie. Moim zdaniem, przydałoby się kupić kilka nowych sukni. Moja żona twierdzi, że nic lepiej nie poprawia nastroju kobiecie jak nowy strój.

Arletta roześmiała się lekko, naturalnie. Była bardzo atrakcyjną, młodą dziewczyną.

- Pańska żona na pewno ma rację - powiedziała. - Zamierzam udać się do Londynu, gdy tylko uporządkuję tu wszystkie sprawy i choć może się to komuś nie spodobać,

sprawię sobie kilka pięknych sukni, a ponieważ znam opinię papy - nie będą czarne!

Pan Metcalfe pozbierał ze stołu papiery i włożył je do skórzanej torby.

- Jest to chyba jedyna rozsądna decyzja, jaką podjęliśmy tego popołudnia - powiedział. - Obiecuję przemyśleć pani sytuację i, mam nadzieję, zjawię się z jakimś rozwiązaniem.

Mówił pewnym siebie tonem, aby dodać jej otuchy, lecz w głębi duszy wiedział, że w jej rodzinie nie znajdzie się nikt na tyle uprzejmy i wyrozumiały, żeby dać schronienie tej ślicznej, młodziutkiej dziewczynie.

Odprowadziła go długimi korytarzami do holu. Wyczuwał panującą w tym domu ponurą, przygnębiającą atmosferę. Panna Arletta powinna jak najszybciej opuścić jego nieprzytulne mury.

Muszę znaleźć jakieś rozwiązanie! - myślał siedząc w swym starym, niemodnym powozie, przeznaczonym dla kucyków, zaprzężonym teraz w młodego, rączego konia, który miał go dowieść do odległego o pięć mil miasteczka, gdzie pan Metcalfe mieszkał i pracował.

Kiedy Arletta zobaczyła, jak powóz zniknął w dębowej alei - wróciła do holu. Podobnie, jak przed chwilą pan Metcalfe, myślała ze smutkiem o swoim domu. Przygnębiona popatrzyła na zabrudzone okna. Nie przepuszczały nawet tyle światła, aby rozjaśnić wiszące na ścianach portrety dostojnych przodków. Już dawno należało je umyć, a wytarty dywan na schodach wyrzucić.

Przyszły hrabia z pewnością uzna, że dom jest przygnębiający i staroświecki. Nadszedł czas, gdy będzie mógł wprowadzić w życie swoje plany ulepszenia tego domostwa. Zawsze uważał za śmieszne wielkie wyrzeczenia, jakie podjął jego poprzednik, aby przywrócić lekkomyślnie utraconą, dawną świetność Weir House.

- Po co zaprzętać sobie głowę długami, jeśli są małe? - przypomniała sobie jego słowa Arletta.

Być może nie mówił tego poważnie, ale Arletta zbyt dobrze знаła kuzyna Hugo. Kierował się w życiu własnymi zasadami i nie zamierzał iść w ślady stryja, który starał się żyć bardzo skromnie brzydząc się zaciąganiem długów. Czynił też wysiłki, aby spłacić długi swojego ojca, ponieważ od dziecka widział, że jego rozrzutny tryb życia był powodem cierpień wielu ludzi.

A teraz, po tylu latach trudów i wyrzeczeń, miałyby patrzeć, jak za sprawą kuzyna wszystko idzie na marne?

- Muszę stąd wyjechać - zdecydowała, idąc powoli pustym korytarzem do pokoju, w którym spędzała czas z ojcem.

Pokój był ładny, jasny z oknami od południa. Kiedyś należał do jej matki. Zgromadziła w nim lekkie, zgrabne francuskie mebelki oraz obrazy, które stanowiły przeciwieństwo przyciężkich portretów rodziny Weirów. Zimą i latem pokój wypełniały zapachem piękne kwiaty, ożywiające barwną zielenią przybladłe boazerie pochodzące z czasów królowej Wiktorii.

Tego pokoju będzie mi brakowało - pomyślała Arletta i podniosła wzrok na portret matki wiszący nad kominkiem.

Spoglądała z niego niezwykle piękna kobieta o łagodnym uśmiechu i błyszczących oczach. Arletta pomyślała, że cechy te świadczyły nie tylko o jej charakterze, lecz także o francuskim pochodzeniu. Matka bardzo różniła się od rodziny Weirów, której korzenie sięgały czasów anglosaskich.

Swoją drogą to dziwne, że dziadek ożenił się z Francuzką. Prawdopodobnie był takim samym buntownikiem jak ojciec. Miał dość sił, aby przeciwstawić się woli swych wyniosłych krewnych i, przypuszczalnie, zasadom panującym w tym ponurym domu.

- Szkoda, że nigdy nie poznałam babci - żałowała Arletta.
- Jesteś bardzo do niej podobna, kochanie - powiedziała kiedyś matka. - Gdy słyszę twój śmiech, to tak jakbym ją słyszała i wydaje mi się, że znów jestem dzieckiem.

Arletta przyglądała się portretowi dłużej niż czas.

- Czy umiałabyś mi pomóc, mamusiu? Zupełnie nie mam pojęcia, co ze sobą począć - westchnęła głośno.

Przede wszystkim powinna znaleźć sobie przyzwoitkę. Przez chwilę pomyślała też o opiekunce, która zajęłaby się przedstawieniem młodej dziewczyny na dworze królewskim i w towarzystwie. Nie miała jednak pojęcia, jak zabrać się do tego i, mimowolnie, zachnęła się na ten pomysł. Była bardzo wrażliwa, nie chciała zwracać na siebie uwagi. Wszyscy zaraz myśleliby, że chce wydać się za męża. A przecież nie spotkała jeszcze mężczyzny, który przyprawiłby ją o przyspieszone bicie serca i istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że kiedyś go spotka.

- Nie chcę jeszcze wychodzić za męża - pomyślała. - Na razie pragnę zakosztować życia.

To była dość ryzykowna decyzja, ponieważ w jej kraju młode panny wydawano za męża zaraz po szkole. I nie istniało dla nich żadne inne rozwiązanie. Jeśli któraś się zbuntowała, zostawała zwykle starą panną i zajmowała się opieką nad swoimi niedołączonymi, steranymi życiem rodzicami, podobnie jak ona robiła to do tej pory. A potem, jako kochana ciotunia, przydawała się do niańczenia bratanków lub siostrzeńców. Na szczęście Arletta nie miała rodzeństwa, więc tego nie musiała brać pod uwagę.

- Co powinnam robić?! Co robić? - nie umiała znaleźć rozwiązania.

Nagle drzwi się otworzyły i ktoś zajrzał do środka. Arletta odwróciła się spoglądając na gościa.

- Jane! Czy to naprawdę ty?! - wykrzyknęła zdumiona.

- Dzwoniłam, ale nikt nie wyszedł - wyjaśniła Jane wchodząc do pokoju - więc pomyślałam, że tu pewnie cię znajdę.

Arletta podbiegła do niej i ucałowała gorąco.

- Kochana Jane! Jaka niespodzianka! Nie miałam pojęcia, że jesteś w domu.

- Przyjechałam dziś po południu - wyjaśniła Jane Turner - a gdy dowiedziałam się, że twój ojciec nie żyje, natychmiast wybrałam się zobaczyć z tobą.

- Jesteś bardzo miła.

- Tak mi przykro z powodu jego śmierci.

- Myślę, że dobrze się stało - odpowiedziała wprost Arletta. - Ataki serca zdarzały się coraz częściej i bardzo cierpiał z powodu podagry. Żył tak długo, tylko dlatego, że był wyjątkowo silnym mężczyzną.

- Papa mi opowiadał, jak troskliwie się nim opiekowałaś - ciągnęła Jane. - Biedna Arletto! To musiało być okropne. Często myślałam o tobie.

- To rzeczywiście było okropne - zgodziła się Arletta. - Ale teraz jestem bardzo podekscytowana twoją obecnością. Dlaczego przyjechałaś ?

Uśmiech rozjaśnił niezbyt urodziwą twarz dziewczyny i przez chwilę wyglądała prawie ładnie.

Arletta przyglądała się jej uważnie.

- Coś się stało! Czuję to! Powiedz mi, Jane! - niecierpliwiła się.

Jane Turner westchnęła głęboko.

- Pewnie nie uwierzysz, Arletto, ale ja wychodzę za mąż!

- To wspaniała nowina! - zawołała Arletta. - Za kogo?

- Nigdy nie zgadniesz - odpowiedziała przyjaciółka. - Za Simona Suttona!

Arletta trochę przybladła.

- To niewiarygodne... aż trudno uwierzyć...

- To prawda - zapewniała Jane. - Pamiętasz go pewnie z czasów, gdy był wikarym u papy, potem wyjechał na Jamajkę. Tam doceniono jego zasługi i teraz ma zostać biskupem!

- A ty będziesz jego żoną - dokończyła podekscytowana Arletta. - To wspaniale!

- Nigdy nawet o tym nie śniłam - wyznała Jane - ale on mnie pokochał. Pisał do mnie prawie co tydzień, wciąż gorąco zapewniając o swojej miłości i tęsknocie, więc ja też często o nim myślałam...

Zarumieniła się i spuściła oczy. Arletta wyciągnęła rękę.

- Jane, to prawie jak w bajce. Przez cały ten czas cię kochał!

- Od kiedy był tu, w Little Meldon - pospieszyła z wyjaśnieniem Jane. - Trochę czułam, że był nieszczęśliwy, gdy stąd wyjeżdżał, ale nie ośmieliłam się nawet pomyśleć, że to z mojego powodu!

- Ale to prawda - upierała się Arletta.

- Tak, przyjechał do Anglii dwa dni temu i powiedział mi, że może sobie pozwolić na małżeństwo. Pragnie, abym pojechała z nim natychmiast na Jamajkę i była obecna przy jego konsekracji.

Arletta splotła ręce.

- Nigdy nie słyszałam czegoś równie ekscytującego, Jane. Tak się cieszę, że jesteś szczęśliwa. Przypuszczam, że przyjechałaś do domu, aby wziąć ślub?

- Oczywiście, papa musi nam go udzielić - odpowiedziała Jane. - Simon ma coś do załatwienia w Londynie i przyjedzie dopiero jutro wieczorem.

- Kochana Jane, jak bardzo się cieszę, że będę na twoim ślubie.

- Nie ma czasu, aby zapraszać wiele ludzi - usprawiedliwiała się Jane - ale oczywiście ciebie zapraszam -

popatrzyła trochę nieśmiało. - Czy zgadzasz się być moją jedyną druhną?

- Naturalnie - przytaknęła bez wahania Arletta. - Byłoby mi bardzo przykro, gdybyś mnie o to nie poprosiła.

- Chyba niedobrze, że będę miała tylko jedną druhnę, gdy jestem taka stara - zastanawiała się Jane. - Czy wiesz, że za miesiąc skończę dwadzieścia osiem lat?

- Jestem pewna, że jesteś w bardzo odpowiednim wieku, aby zostać żoną biskupa - zaśmiała się Arletta.

Jane także uśmiechnęła się lekko. Była córką pastora. Znały się od dziecka, i często razem się bawiły. Ojciec Jane zgodził się nawet uczyć Arlettę przedmiotów, na których nie znały się jej guwernantki, ponieważ czcigodny Adolphus Turner był z wykształcenia humanistą. Wprowadzał Arlettę w tajniki historii i literatury, podczas gdy guwernantki zajmowały się innymi przedmiotami, także muzyką i historią sztuki.

Jane miała w przyszłości zostać guwernantką. Może właśnie dlatego chętnie pomagała Arletcie w lekcjach. I chociaż była między nimi znaczna różnica wieku, wkrótce stały się bliskimi przyjaciółkami.

Wiadomość o ślubie Jane uradowała Arlettę. Nieraz żałowała, że ta miła, pełna wyrozumiałości dziewczyna nie interesowała młodych mężczyzn z okolicy. A tu taka niespodzianka! Jane zostanie żoną biskupa. Długo jeszcze zasypywała Jane pytaniami, kazała sobie ze szczegółami opowiadać o tym, co się wydarzyło i o planach na przyszłość.

- To dziwne, że czasami wszystko dzieje się tak nagle - powiedziała Jane w pewnej chwili.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Widzisz, niedawno dostałam propozycję, która jeszcze kilka dni temu wydała mi się niezwykle interesująca i dlatego ją przyjąłam.

- Cóż to takiego?
- Czy pamiętasz lady Langley, której przedstawiła mnie twoja matka, gdy tamta szukała guwernantki dla swoich dzieci?
- Tak, oczywiście, że pamiętam.
- Kiedy skończyłam uczyć ostatnie z jej dzieci - wyjaśniła Jane - poprosiła mnie, bym udała się do Francji.
- Do Francji! - zdumiała się Arletta.
- To bardzo dziwna historia - zaczęła Jane. - Brat lady Langley poślubił kiedyś Francuzkę, siostrę księcia de Sauterre, która, niestety, zmarła cztery lata temu. Lady Langley zaproponowała, że zajmie się wychowaniem dwójki dzieci, ale książę stwierdził, że ich miejsce jest we Francji.
- Arletta przysłuchiwała się uważnie.
- Lady Langley dręczyły wyrzuty sumienia, ponieważ nigdy jeszcze nie odwiedziła swojego bratanka ani bratanicy i dlatego kilka tygodni temu zdecydowała się pojechać do zamku.
- Opowieść Jane brzmiała bardzo tajemniczo.
- Co się stało? Co nie było w porządku? - niecierpliwiła się Arletta.
- Lady Langley była autentycznie przerażona. Jej bratanek Dawid ma za rok wyjechać do angielskiej szkoły w Eton i nie mówi słowa po angielsku.
- Jeśli to prawda - czeka go tam straszne życie - stwierdziła Arletta.
- Lady Langley była tego samego zdania. Dziewczynka także nie mówi po angielsku, ale jest młodsza i w jej przypadku nie ma takiego pośpiechu.
- I miałaś tam wyjechać, aby uczyć te dzieci języka angielskiego? - wywnioskowała Arletta.
- Tak, przyrzekłam to lady Langley, powinnam stąd wyjechać już za cztery dni.

- Czy bardzo się martwi, że nie możesz tego zrobić?

- Ona o tym nie wie - odpowiedziała Jane. - Wszystko przygotowała do mojego wyjazdu i wypłynęła wraz z lordem Langley na rejs po Morzu Śródziemnym. Nie ma sposobu, aby się teraz z nią skontaktować. Czuję się okropnie, naprawdę nie chciałam jej zawieść, Arletto. Ale przecież nie mogę odmówić Simonowi, nieprawdaż?

- Oczywiście, że nie - zgodziła się Arletta. - Żal mi tylko tego chłopca... - Przerwała raptownie.

- Jane! - odezwała się zmienionym głosem.

- Co się stało?

- Chyba znalazłam wspólne rozwiązanie naszych kłopotów.

Jane popatrzyła na nią, nic nie rozumiejąc.

- Pojadę do Francji zamiast ciebie! Zawsze tego pragnęłam. Jestem pewna, że mama zesłała mi ciebie w odpowiedzi na moje modlitwy.

Jane, wciąż bardzo zdumiona, wpatrywała się w przyjaciółkę.

- Nie możesz tego zrobić!

- Oczywiście, że mogę - powiedziała Arletta. - Zanim tu przyjechałaś, wspólnie z panem Metcalfe zamartwialiśmy się, co powinnam ze sobą począć. Muszę wyprowadzić się stąd jak najszybciej. Kuzyn Hugo, którego pewnie pamiętasz, powiedział, że chce się tu zaraz wprowadzić, a ja mam opuścić dom.

- Tak mi przykro to słyszeć - zatroskała się Jane. - Bardzo nieładnie, że każe ci wyprowadzić się z domu, chociaż wątpię, żebyś chciała tu zostać po śmierci ojca.

- Nie chcę tu zostać - zgodziła się Arletta. - Nie mogę także zamieszkać sama w domu posagowym i nie przychodzi mi do głowy żaden krewny, u którego mogłabym się zatrzymać.

- Trudno mi w to uwierzyć... - zaczęła Jane i przerwała. Znała wszystkich krewnych Arletty i zawsze uważała, że to bardzo nieprzyjemna rodzina.

Arletta jakby czytała w jej myślach.

- Masz absolutną rację. Też tak sobie pomyślałam. Jestem pewna, Jane, że mogłabym zająć twoje miejsce i udawać ciebie. Nikt nigdy się o tym nie dowie.

- Ależ to niemożliwe! - zaprotestowała Jane.

- Dlaczego? - zapytała Arletta. - Przecież powiedziałaś, że lady Langley jest na Morzu Śródziemnym. Na jak długo wyjechała?

- Co najmniej na miesiąc, a może nawet sześć tygodni.

Arletta uśmiechnęła się.

- Nie ma potrzeby mówić jej o wszystkim. A przez ten czas zobaczę upragnioną Francję. Jeśli się spodobam - zatrzymają mnie na dłużej, jeśli nie - wrócę i prawdopodobnie wprowadzę się do domu posagowego, płacąc komuś za dotrzymanie mi towarzystwa.

Jane wykrzywiła usta.

- Ależ to okropne!

- Wiem - przytaknęła Arletta - ale na pewno lepsze niż zamieszkanie u którejś z moich ciotek czy kuzynów. Przecież wiesz, jacy oni są!

Jane wstała z kanapy i przeszła się po pokoju.

- Jestem pewna, że zrobię źle, jeśli pozwolę ci na ten wyjazd - powiedziała.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Zaległa chwila ciszy. Jane starała się dobrać właściwe słowa.

- Lady Langley uprzedziła mnie, że ksiązę jest bardzo gwałtownym i przerażającym człowiekiem. Ale nie o niego się martwię tylko o innych mężczyzn, których tam spotkasz. Nie

wiem czy zdajesz sobie sprawę, Arletto, że jesteś niezwykle piękną dziewczyną.

Arletta roześmiała się.

- Teraz rozumiem, o co ci chodzi, ale dość nasłuchałam się o tym, że Francuzi są bardzo zarozumiałymi i wyniosłymi ludźmi. Żaden z nich nawet nie spojrzy na prostą guwernantkę.

Jane zamyśliła się. Arletta była jeszcze zupełnie niewinną dziewczyną. Skąd mogła więc wiedzieć, co pomyśla Francuzi o takiej ślicznej guwernantce jak ona? Nagle przypomniała sobie, że lady Langley uprzedziła ją, iż zamek znajduje się w opustoszałej części Dordogne. Mówiła, że nie ma tam żadnego towarzystwa dla Pauliny i Dawida. Najbliższą okolicę zamieszkiwało niewielu ludzi.

- Księżę spędza większość czasu w Paryżu. To dobrze, bo domyślałam się, że służba bardzo się go boi. Zamek jest doskonałym przykładem francuskiej architektury i jest utrzymywany bardzo wykwintnie, niemal na królewskim poziomie.

Arletta słuchała uważnie.

- Lady Langley mówiła o panującej tam nudzie. Jednak nie chciała pozwolić, aby jej bratanek cierpiał w Eton z powodu uprzedzenia księcia do Anglików.

„ - Uprzedzenia do Anglików? - spytałam ją wtedy zaskoczona.

- Księżę był bardzo niezadowolony podobnie zresztą jak rodzice, kiedy mój brat ożenił się z jego siostrą. - odpowiedziała lady Langley. - Jednak młodzi bardzo się kochali i uciekli z domu. Gdy było już za późno, aby zapobiec ich związkowi, wrócili i przeprosili za swoje postępowanie. Jej rodzice wybaczyli, ale niektórzy twierdzą, że obecny księżę - nie.

- To brzmi jak powieść - powiedziałam wtedy.

- Też tak uważam - odrzekła lady Langley nieśmiało. - Jednak najwięcej ucierpią niewinne dzieci, a na to nie mogę pozwolić.

- I przekonała pani księcia, aby zatrudnił angielską guwernantkę? - dokończyłam.

- Jest temu wyjątkowo niechętny, nie życzy sobie trzymać w domu jakiejś Angielki - mówiła szczerze lady Langley.

- Jednak zdołała go pani przekonać?!

- To było wyjątkowo trudne i obawiam się, panno Turner, że mimo wszystko nie zgotują tam pani ciepłego przyjęcia. Ale zaklinam i błagam panią na kolanach: czy zrobi to pani dla mnie?"

- Od sześciu lat uczyłam jej dzieci i zawsze była dla mnie bardzo miła. Rozumiesz, że nie mogłam jej odmówić.

- Rozumiem - zgodziła się Arletta. - Trzeba być bardzo okrutną osobą, żeby zawieść ją teraz, gdy jest spokojna o przyszłość Dawida. - Widząc, że Jane wciąż jeszcze się waha, przekonywała ją dalej. - W przypadku chłopca czas nagli, jeśli nie zgodzisz się go uczyć i nie wyślesz nikogo w zastępstwie, uprzedzenie księcia do Anglików jeszcze przez to wzrośnie. A Dawid znajdzie się w Eton nie mówiąc słowa po angielsku. To pewna katastrofa.

- Muszę przyznać, że miałam wyrzuty sumienia i było mi bardzo nieprzyjemnie, ale nie przyszło mi do głowy wysłać tam kogoś na swoje miejsce.

- W takim razie masz przed sobą właściwą osobę! - powiedziała Arletta. - Zamierzam pojechać zamiast ciebie. Niebiosy zsyłają mi odpowiedź, na którą czekałam. To znaczy, że nie zostałam tam jeszcze zapomniana.

Jane uśmiechnęła się nieznacznie.

- Nikt i nigdy nie mógłby cię zapomnieć, Arletto. Jesteś najmilszą osobą, z jaką kiedykolwiek miałam do czynienia. Wiesz, że papa, ja i wszyscy we wsi bardzo cię kochamy.

- Dziękuję bardzo - powiedziała Arletta. - Jeśli mnie kochasz, pozwól mi wyjechać do Francji.

Po chwili zaś dodała: - Nim weszłaś, patrzyłam na portret mojej mamy, szukając znamion jej francuskiego pochodzenia.

- Twoja matka wygląda jak rodowita Angielka - stwierdziła Jane, spoglądając na portret.

- Mylisz się - zaprotestowała Arletta. - Zarówno babcia jak i mama pochodziły z Normandii, i mówiły, że wszyscy jej krewni mają niebieskie oczy i jasne włosy.

Jane rozmyślała przez chwilę.

- Być może będzie to miła wiadomość dla księcia, gdy się dowie, że płynie w tobie francuska krew. Ale z drugiej strony może sobie pomyśleć, że nie jest z ciebie dobra nauczycielka języka angielskiego.

Arletta zaśmiała się.

- Próbujesz mnie zastraszyć, ale mogę przysiąc, że wcale się nie boję tego okropnego księcia. Jeśli nie spodoba mi się jego zachowanie, w każdej chwili będę mogła wrócić do domu, tyle że bez referencji. Wyjazd ten z pewnością nie zmieni mojego życia tak, jak zmieniłby twoje.

Jane objęła Arlette.

- Jeżeli pozwolę ci tam pojechać, czy przysięgniesz mi, mówię w tej chwili bardzo poważnie...

- O co chodzi?

- ...że nie będziesz zwracać uwagi na komplementy, jakimi będą zasypywać cię mężczyźni?

- Dlaczego?

- Francuzi są zupełnie inni niż Anglicy - tłumaczyła Jane.
- Przede wszystkim, posłuszni woli rodziców, żenią się bardzo młodo. Z tego, co zrozumiałam, dotyczy to także księcia de Sauterre. Oni kierują się rozsądkiem, zyskami, a miłość stawiają na dalszym miejscu.

- Mama mówiła mi o tym - przyznała Arletta. - To bardzo bezlitosny sposób układania życia młodym ludziom.

- Tak - zgodziła się Jane. - A potem rozgoryczeni małżonkowie przeżywają niezliczone romanse, co według mojego ojca jest godne potępienia.

- Francuzi nie są w tym odosobnieni. Nawet tu, w Little Meldon słyszałam, jak ludzie rozprawiali o romansach księcia Walii.

- Nie powinni plotkować z tobą o takich rzeczach - zareagowała ostro Jane.

- Nie możesz zamknąć mnie w klatce, kochana Jane. Przecież wiem, że zawsze usiłowałaś trzymać mnie z daleka od rzeczy nieprzyjemnych.

Jane uśmiechnęła się.

- Byłaś cudownym dzieckiem, podobnie jak teraz jesteś wspaniałą dziewczyną. Nie powinnaś w ogóle wiedzieć o niegodziwościach tego życia.

- Ale ty możesz wiedzieć - zaśmiała się Arletta. - Och, Jane, ja już wyrosłam! Mam prawie dwadzieścia lat i choć żyję, można powiedzieć, na uboczu, przecież czytam gazety i książki. Kiedy papa chorował, były moją jedyną rozrywką. Może powinnam jeszcze wspomnieć o plotkowaniu ze służbą.

- To doprawdy było życie obfitujące w rozrywki. - roześmiała się Jane. Żart zabrzmiał okrutnie i Jane to zrozumiała.

- Kochanie, wiem jak ciężki okres masz za sobą. Jeżeli naprawdę uszczęśliwi cię wyjazd do Francji, to jedź, tylko przysięgnij, że będziesz ostrożna.

- Naprawdę się zgadzasz? - zapytała uradowana Arletta.

Oczy jej błyszczały i wyglądała prześlicznie. Jane znowu sposepniała. Czy powinna pozwolić jechać Arletcie samej w nieznane?

- Będę musiała to przemyśleć - wykręciła się od ostatecznej odpowiedzi.

- Ale tu nie ma o czym myśleć - przekonywała Arletta. - Może tylko, jak powinnam wcielić się w twoją osobę. Masz paszport?

- Mam - ale go nie potrzebuję, bo Simon załatwia formalności i jako żona będę figurować w jego paszporcie.

- W takim razie ten problem jest już rozwiązany - ucieszyła się Arletta. - Będę panną Jane Turner!

- To do ciebie nie pasuje.

- Ależ pasuje bardziej niż sobie wyobrażasz - sprzeciwiła się Arletta. - Jestem panną Jane Turner i właśnie wybieram się do Francji, aby zobaczyć kawałek świata.

- Obawiam się tylko, że dla ciebie będzie o wiele za mały - uprzedziła Jane. - Spokojny zamek w odludnej części kraju z dwójką dzieci i mnóstwem służących. I wątpię, czy spotkasz tam jeszcze kogoś.

- Będę bardzo rozczarowana, jeśli nie zobaczę budzącego strach i grozę pana domu!

- Jeśli tak się stanie, postaraj się wyglądać bardzo oficjalnie i uprzedź, że jesteś córką pastora! - Jane przerwała na chwilę. - Obiecuj, że zawsze starannie zanikniesz na klucz drzwi swojej sypialni!

Arletta patrzyła na nią, a po chwili roześmiała się.

- Och, Jane - powiedziała - czytałaś zbyt wiele romansów. Nigdy nie uwierzę, że zarozumiała i dumny książę raczy zwrócić uwagę na zwykłą guwernantkę. A jeśli, jak mówisz, często przebywa w Paryżu, jest niewątpliwie oblegany przez tłum pięknych, egzotycznych kobiet, przy których nawet prawdziwe damy wydają się nieciekawe.

- Ty jesteś prawdziwą damą, Arletto - powiedziała Jane.

- Tak, ale wiem, że w Paryżu aż roi się od pięknych, ekstrawaganckich i kuszących kurtyzan!

Jane popatrzyła na nią surowo.

- Nie powinnaś mówić o takich rzeczach, a w ogóle, jak śmiesz wiedzieć o istnieniu tych okropnych kobiet?!

- Czytałam o nich, słyszałam o nich, a jeśli już tak bardzo chcesz wiedzieć, nawet papa czasami o nich wspominał! - odparowała Arletta. - Naprawdę, Jane, nie jestem już dzieckiem!

Przerażona Jane uniosła ręce, a śmiech Arletty rozjaśnił pokój, jak gdyby nagle słońce zajrzało do środka.

Rozdział 2

Arletta płynęła parowcem w kierunku Bordeaux. Zanim do tego doszło, długo jeszcze przekonywała Jane, nim ta wreszcie zgodziła się na jej wyjazd do Francji.

- Pamiętaj, kochana Jane - uspokajała ją wiele razy Arletta - mogę w każdej chwili wrócić do domu. Przecież wiesz, że dla mnie referencje nie są tak ważne jak dla ciebie.

To było logiczne. Jednak Jane wciąż bała się, że Arletta może znaleźć się w kłopotliwej sytuacji. Była jeszcze bardzo młoda i niedoświadczona.

- Wszystko wydaje mi się lepsze - zapewniała gorąco Arletta - od życia w domu posagowym, czy u któregoś z moich krewnych.

Rozmawiały też o możliwościach znalezienia kogoś, kto towarzyszyłby Arletcie w Londynie i przedstawił ją na królewskim dworze. Jane zaproponowała lady Langley.

- Gdy tylko wróci z rejsu, musisz z nią o tym porozmawiać - powiedziała. - Zająłś moje miejsce przy jej bratanku i bratanicy, więc będzie ci bardzo wdzięczna i nie odmówi pomocy.

Jane miała rację. Lady Langley, dawna przyjaciółka matki Arletty, była uosobieniem dobroci. Kiedyś wielebny pastor w imieniu córki, zwrócił się właśnie do lady Langley z prośbą o zarekomendowanie komuś Jane jako guwernantki. Lady Langley zatrudniła Jane u siebie, bo uznała, że ktoś, kto pochodzi z ich wsi i jest im znany, bardziej nadaje się na guwernantkę niż ktokolwiek inny. I rzeczywiście, Jane odniosła wielki sukces u lady Langley. Gdy nadszedł dzień, kiedy już nie była potrzebna do dzieci, z żalem opuściła dom, w którym zaznała wiele szczęścia.

- Lady Langley jest taka sama jak twoja matka - zapewniała Arlette. - Jestem pewna, że chętnie zatroszczy się o ciebie, podobnie jak kiedyś opiekowała się mną.

- Koniecznie muszę - powiedziała Arletta, rozmyślając intensywnie - wyjechać stąd przed jej powrotem z Morza Śródziemnego! Taka szansa może się nie powtórzyć: będę uczyć dziecko, a przy okazji zobaczę Francję.

Jane dała się wreszcie przekonać i pokazała Arletcie instrukcje, napisane niezgrabną angielszczyzną, jakie otrzymała od sekretarza księcia.

- Nie wiem, czy nie powinnam się obrazić. On chyba myśli, że ja nie rozumiem po francusku - powiedziała śmiejąc się Jane. - Ale ty władasz tym językiem tak, jakbyś była rodowitą Francuzką.

- Przecież nią jestem dzięki babci - odpowiedziała Arletta.

W dzieciństwie matka Arletty kładła wielki nacisk na naukę francuskiego. Pragnęła, aby Arletta mówiła z paryskim akcentem tak, jak rozmawiało się w arystokratycznych rodzinach francuskich. Często urządzała „francuskie dni”, podczas których bez względu na to, co robiły, rozmawiały tylko po francusku. Do tej, w pewnym sensie zabawy, czasami też przyłączał się ojciec. W ten sposób, zanim Arletta utraciła matkę, nauczyła się mówić biegle po francusku. Teraz z pewnością bardzo jej się to przyda.

Kiedy parowiec płynął w stronę Bordeaux, ćwiczyła w myślach wymowę i czytała francuską powieść, którą znalazła wśród książek matki.

Świeciło słońce i Bordeaux, pomimo że było miastem kupieckim, od strony morza wyglądało imponująco. Od czasów rzymskich mieściło się tu centrum handlu winem. Arletta przypominała sobie ojca, który tyle wycierpiał z powodu czerwonego wina.

Według instrukcji, w Bordeaux powinna wsiąść do pociągu, którym dojedzie do stacji położonej najbliżej posiadłości księcia. Tam miał czekać na nią powóz. Wszystko było bardzo jasne, tyle że w Bordeaux znalazła się trochę

później niż przewidywała, ponieważ parowiec wyszedł z Plymouth z opóźnieniem. Denerwowała się, że nie zdąży na pociąg.

Nigdy nie podróżowała sama. Była zdumiona, jak wiele ludzi oferowało jej swą pomoc. Tragarze prześcigali się, aby jej usłużyć, kilka starszych pań pytało, czy jej czegoś nie potrzeba. A wszystko dlatego, że wyglądała ślicznie, młodo i trochę bezradnie.

Zanim wyjechała, długo dyskutowały z Jane o tym, w co powinna ubierać się jako guwernantka.

- Nic sobie nie kupowałam przez czas choroby papy i właściwie wszystko, co mam, to zdarte szmatki - powiedziała Arletta. - Muszę sprawić sobie kilka nowych sukni. I tak miałam zamiar kupić komplet nowej garderoby w Londynie.

- Nie możesz ubierać się w nazbyt wyszukany sposób - zastrzegła Jane - bo ksiązę domyśli się, że nie jesteś tą, za którą się podajesz.

- Ale nie zamierzam też wyglądać jak jakaś żebraczka - odparowała Arletta. - Jeśli wystąpiłabym w tym, co teraz mam na sobie, nawet dzieci zakwestionowałyby mój autorytet.

- Najlepiej będzie, jeśli pojedziemy do Worcester. Znajdziemy tam suknie, które nie będą rzucały się w oczy ani nie będą zbyt drogie, jak na portfel guwernantki - zdecydowała Jane.

Wyjechały bardzo wcześnie następnego ranka, aby wrócić na plebanię przed przyjazdem Simona Suttona.

W Worcester, dużym mieście handlowym, znalazły właściwe ubrania, wszystkie świetnie leżały na Arletcie. Umiała się w nich poruszać, być może z powodu francuskiego pochodzenia.

Jaka szkoda - pomyślała z żalem Jane - że mnie brakuje takiego wdzięku.

Wzruszyła się, gdy Arletta namawiała ją gorąco na kupno nowego stroju podróżnego, a także bardzo pięknej sukni wieczorowej.

- To będzie część mojego prezentu ślubnego dla ciebie - powiedziała Arletta. - Na pewno okaże się bardziej użyteczny niż broszka czy naszyjnik, które i tak dostałabyś ode mnie.

- Jesteś taka rozrzutna - zaprotestowała odruchowo Jane.

- Jeśli takim tonem poskramiasz swoich uczniów, to bardzo mi ich żal - zażartowała Arletta.

Wybuchnęły śmiechem i odtąd już w świetnych humorach robiły dalsze zakupy. Wracały na plebanię radośnie podniecone, jak gdyby cały świat do nich należał.

Simon Sutton już na nie czekał. Kiedy Arletta zobaczyła wyraz jego oczu wpatrzonych w Jane, pomyślała, że przyjaciółka ma wielkie szczęście. Simon nie przywiązywał wagi do urody Jane. Kochał ją taką, jaka była, i bez wątpliwości Jane także była zakochana po uszy w jedynym mężczyźnie, który zwrócił na nią uwagę i pragnął poślubić.

Nigdy w życiu Arletta nie widziała państwa młodych bardziej promieniujących szczęściem niż Jane i Simon, kiedy szli środkiem kościoła po boże błogosławieństwo.

Przed samym ślubem Arletta zdołała odnaleźć wytworny koronkowy welon, w którym od pokoleń brały ślub panny młode z Weir House. Poprosiła Jane aby go włożyła razem z małym diamentowym diademem, należącym również do rodowej kolekcji. Uznała, że kuzyn Hugo nie doceni tych, dla niego zbyt skromnych, rodzinnych klejnotów.

Bardziej okazałe diademy, naszyjniki, bransolety i broszki, które były skarbami rodzowymi, zostały sprzedane przez ojca na spłacenie długów dziadka. Zostawiono tylko jeden mały diadem dla matki, aby go zakładała na specjalne okazje.

Arletta często z żalem przyglądała się portretom poprzednich hrabin Weir, które mieniły się od kosztowności. Matka uśmiechała się wtedy nieznacznie.

- Jestem bardzo szczęśliwa i bez nich - mówiła. - Zapewniam cię, kochanie, że odrobina rozumu jest dużo lepszą ozdobą niż długi.

Jane była bardzo przejęta prezentami Arletty. Ozdobiona nimi, czuła się piękniejszą panną młodą, także w oczach Simona.

Na przyjęciu weselnym kilku zaproszonych gości wzniosło toasty za zdrowie młodej pary, która, przed wyjazdem na Jamajkę, wyruszyła w kilkudniową podróż poślubną.

Jane uścisnęła Arlettę na pożegnanie i szepnęła:

- Obiecuj, że będziesz ostrożna. Będę się o ciebie martwić i modlić, żebyś była bezpieczna.

- Ależ będę bezpieczna - powiedziała Arletta. - Jeśli tylko coś mi się nie spodoba, po prostu powiem księciu, co o nim myślę, i wrócę. A poza tym, w razie potrzeby mogę też liczyć na pomoc twojego ojca.

- Naturalnie - zgodziła się Jane. - Ale on nie zna naszego planu.

- Nikt nie powinien go znać - powiedziała pośpiesznie Arletta. - W przeciwnym razie nie pozwolą mi na ten wyjazd.

Jane ucałowała ją jeszcze raz i pobiegła do męża.

Arletta przed wyjazdem napisała list do pana Metcalfe. Poinformowała, że wyjeżdża do Francji, do przyjaciół, i podała adres pałacu księcia na wypadek jakiejś pilnej sprawy.

Przez ostatnie trzy dni była zajęta pakowaniem i nie miała czasu na rozmyślanie. Starła się zabrać wszystko, co w przyszłości mogło okazać się potrzebne, aby później nie poniżać się proszeniem swojego kuzyna o przysłanie jakiegoś zapomnianego drobiazgu.

Poleciała ogrodnikowi i służbie, żeby przenieśli do domu posagowego rzeczy należące kiedyś do jej matki. Nigdy nie przypuszczała, że będzie tego tak dużo: meble, książki, obrazy. Doszły także ubrania, o które dbała staruszka ochmistrzyni. Leżały w kufrach na strychu, a ona regularnie je przeglądała, upewniając się, czy nie jedzą ich mole.

Arletta była bardzo nieszczęśliwa po śmierci matki, a gdy tylko doszła do siebie - rozchorował się ojciec. Nie miała czasu myśleć o wspaniałych futrach ani innych częściach garderoby, w których kiedyś jej matka wyglądała tak pięknie. Wiele matczynych ubrań wyszło już z mody, ale będzie mogła je przerobić w razie potrzeby, a futra i palta na pewno przydadzą się zimą.

- Dlaczego nie przypomniawsz mi o tych rzeczach? - zapytała ochmistrzynię.

- Bałam się przypominać panience nieszczęśliwe chwile - usłyszała w odpowiedzi.

Jednak Arletta zdecydowała się zabrać niektóre rzeczy matki do Francji, aby przypominały jej raczej radosne chwile. Spakowała kilka pięknych nocnych koszul i szlafroki z niebieskiego atłasu. Były dużo ładniejsze od jasnych, wełnianych podomek, które nosiła od szesnastego roku życia.

Nikt mnie w tym nie zobaczy, pomyślała. Mogę sobie pozwolić na odrobinę luksusu w nocy, gdy będę zupełnie sama. Czy znajdę kiedyś bardziej stosowne miejsce do noszenia takiej bielizny, niż właśnie zamek?

Chociaż Jane próbowała obrzydzić jej księcia, Arletta życie w zamku wyobrażała sobie bajkowo. Wiedziała z książek, że ta część Francji słynie ze starych zamków i bardzo żałowała, że zabrakło jej czasu na przeczytanie czegoś więcej o Dordogne, gdzie przodkowie i rodzina księcia mieszkali od pokoleń. Nie mogła przed wyjazdem znaleźć odpowiednich

książek, lecz obiecała sobie w wolnej chwili po przyjeździe zajrzeć do przewodników po Dordogne.

Kiedy dotarła do Bordeaux, z zaciekawieniem obserwowała ludzi. Wyglądali zupełnie inaczej niż Anglicy. Nawet zwykli chłopci w długich sukmanach i szalach na głowach mieli swój własny, niepowtarzalny urok, podobnie jak zakonnice ubrane w unoszące się na wietrze welony. Widziała też kobiety w cudacznych koronkowych czepkach i obszytych koronką fartuchach, charakterystycznych dla tego rejonu. Nawet gendarmes w eleganckich mundurach wyglądali tak, jakby przed chwilą wyszli z opery albo komedii muzycznej.

Nie miała dość czasu, aby przyjrzeć się wszystkim dokładnie. Gdy dotarła na stację, zostało tylko piętnaście minut do odjazdu pociągu. Po drodze oglądała przez okno urozmaicony wiejski krajobraz: ogromne, tajemnicze lasy i wzgórza, na których wznosiły się dumnie stare dwory i pałace. Czowała się jak w krainie baśni. Również zamek księcia na tle błękitnego nieba wyglądał imponująco, majestatycznie, i chociaż nie chciała tego przyznać - raczej przerażająco.

Z daleka okna wydawały się bardzo wysokie i wąskie. Zakończone blankami mury niektórych wież przywiodły jej na myśl żołnierzy, którzy kiedyś strzegli zamku, zawsze gotowi odeprzeć atak wroga. Poniżej płynęła rzeka. Tuż nad jej brzegiem wznosił się kamienny mur, a zaraz za nim zamek. Wspomniała też ponure, zamkowe lochy, do których wtrącano więźniów. Tam w wilgoci i ciemnościach czekali na śmierć.

Kiedy powóz, który zabrał ją ze stacji, zbliżał się do zamku miała nieprzyjemne uczucie, że z wąskich okien ktoś ją obserwuje. Przejechali przez most i skierowali do zamkowych wrót od wschodniej strony. Po obu stronach wąskiego podjazdu stały chaty, a na końcu stary kościółek, który tak jak zamek pochodził z XII wieku. Minęli podwójne wrota w

środku wielkiego muru i znaleźli się na dziedzińcu zamkowym.

Westchnęła nerwowo. Zobaczyła imponujące, łukowate podwoje, do których prowadziły wysokie schody. Wejście było niezwykle piękne, ale też wyglądało złowroźnie. Zaprzężony w cztery konie powóz zatrzymał się. Natychmiast ze schodów zbiegł lokaj w ozdobnej, bordowej liberii obszytej złotym galonem i otworzył drzwi powozu. Nie ukrywał zdziwienia na jej widok. Przy drzwiach wejściowych czekał już majordomus.

- Czy pani nazywa się Turner? - zapytał po francusku.

- Tak.

- Proszę iść za mną.

Poprowadził ją imponującym, pochodzącym jeszcze z czasów średniowiecza holem. Minęli ogromny, otwarty kominek z zatkniętymi po obu stronach prastarymi chorągwiami. Nie zatrzymując się, doszli korytarzem do sekretariatu.

- Pani Turner już przyjechała, proszę pana!

Mężczyzna w średnim wieku z siwiejącymi włosami podniósł się powoli zza biurka. Arletta domyśliła się, że to pan Byien, który wysłał Jane instrukcje dotyczące podróży. Wyciągnął rękę, ale gdy spojrzał na Arlette, uśmiech na jego twarzy nagle zastygł. Patrzył na nią w osłupieniu.

- Pani nazywa się Turner? - wykrztusił.

- Muszę panu podziękować - odpowiedziała Arletta perfekcyjną francuzczyzną - za dokładne wskazówki, jakich mi pan udzielił na podróż. Parowiec trochę się opóźnił i bałam się, że w Bordeaux nie zdążę na pociąg, ale wszystko skończyło się dobrze.

- Czy zechce pani usiąść? - pan Byien wskazał krzesło po drugiej stronie biurka.

Arletta zastanawiała się, czy nie powinna nosić okularów, które dodałyby jej trochę powagi i może... lat. Jednak gdyby je zapomniała włożyć wydałoby się, że i tak widzi świetnie, a wtedy dopiero wszyscy zaczęliby snuć niebezpieczne domysły. Zamiast tego ułożyła włosy w prosty i, miała nadzieję, bardzo nieatrakcyjny sposób oraz nałożyła stary kapelusz matki. Lecz jej wysiłki nie dały oczekiwanego rezultatu. - Z tego, co mówiła lady Langley, zrozumiałem, że jest pani o wiele starsza.

- Zawsze mi mówiono, że to bardzo nieładnie, gdy mężczyźni rozmawiają o wieku kobiet - odpowiedziała Arletta. - Jeśli wyglądam młodo, co przyjmuję jako komplement, to tylko kwestia czasu, który to zmieni.

Pan Byien uśmiechnął się i dopiero teraz z jego zatroskanej twarzy zniknął niepokój.

- Nie da się zaprzeczyć - powiedział. - Proszę mi wybaczyć, ale nigdy nie pomyślałbym, że angielska guwernantka może wyglądać tak jak pani.

- Zapewniam pana - odpowiedziała Arletta - że jestem bardzo dobrą nauczycielką języka angielskiego i tylko dlatego tu przyjechałam. Moim zdaniem, wygląd nie może mieć wpływu na biegłość ojczystego języka.

- Możliwe, że angielski jest pani ojczystym językiem - powiedział sekretarz - ale pragnę pani pogratulować biegłości we francuskim.

- Dziękuję - odpowiedziała Arletta - i zapewniam pana, że po angielsku mówię dużo lepiej.

- A to, jak pani już wspomniała, jest najważniejsze.

Znowu popatrzył cokolwiek zmartwiony, jak gdyby w jej wyglądzie było coś, co z jego punktu widzenia stanowiło wadę.

Wstał.

- Na pewno chciałyby pani zobaczyć swoje pokoje i spotkać się z dziećmi. One także z niecierpliwością czekają na tę chwilę.

Wyszli z biura i Arletta z ciekawością rozglądała się dookoła. Meble pochodziły z późniejszych czasów niż mury zamkowe. Małe okna nie przepuszczały zbyt wiele światła i w zimie lub o zmroku musiało być tu ponuro i strasznie.

Prowadził ją bocznymi schodami na górę. Gdy doszli do pokoju na samej górze, Arletta uświadomiła sobie, że znajdują się w jednej z okrągłych wież. To mógł być salon albo raczej sala szkolna, bo Arletta zobaczyła w środku dwoje dzieci. Chłopiec bawił się starannie porzeźbionymi i pomalowanymi drewnianymi żołnierzami. Mała dziewczynka przyglądała się temu, tuląc w ramionach lalkę. Oboje podnieśli głowy, gdy pan Byien wszedł do pokoju, potem przenieśli wzrok na Arlette.

- Pani Turner już przyjechała - zwrócił się do nich po francusku pan Byien. - Wiem, że oboje z niecierpliwością czekaliście na nią. - Podeszedł do stołu. - To jest Dawid i jego imponująca armia żołnierzów, a to Paulina - przedstawił Arletcie dzieci.

- Miło cię poznać, Dawidzie - Arletta wyciągnęła rękę i popatrzyła na chłopca. - Mam nadzieję, że później pokażesz mi swoje żołnierzyki. Mój ojciec także miał kiedyś podobną kolekcję i był z niej bardzo dumny.

Chciała dodać, że ustawiał je jak do bitwy pod Waterloo, ale taka uwaga mogła być nietaktowna we francuskim domu. Odwróciła się do Pauliny. Dziewczynka miała kasztanowe włosy opadające w lokach po obu stronach bardzo słodkiej, prześlicznej twarzyczki, z której spoglądała para ogromnych oczu.

- Czy czeka nas dużo, bardzo dużo lekcji, proszę pani? - zapytała.

- Mam nadzieję, że nie - odpowiedziała Arletta. - A czy wiecie, że kiedy was poproszę, abyście opowiedzieli mi wszystko o tym wspaniałym zamku, będziecie mieli okazję także mnie udzielić paru lekcji?

Dzieci popatrzyły na nią zdziwione.

- Pani pokoje, podobnie jak pokoje dzieci znajdują się piętro wyżej. Gdy będzie pani chciała tam pójść, Paulina z pewnością wskaże drogę - odezwał się pan Byien.

- Dziękuję - odpowiedziała Arletta.

Jeszcze raz popatrzył na nią wyraźnie zmartwiony i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Arletta zdjęła kapelusz oraz pelerynę, w której było jej zbyt ciepło przez ostatnią część podróży i odłożyła je na krzesło stojące przy drzwiach.

- Na pewno oboje dobrze wiecie, że przyjechałam, aby uczyć was języka angielskiego. Musimy wspólnie ustalić, jaka metoda będzie najlepsza, bo w twoim przypadku, Dawidzie, czas nagli.

Chłopiec patrzył na żołnierzyki, które trzymał w ręce.

- Chcę nauczyć się angielskiego, potem pojedę do Anglii i nigdy tu nie wrócę! - powiedział gwałtownie i zerknął przez ramię w stronę drzwi, jakby się bał, że ktoś może ich podsłuchać.

- Chcesz powiedzieć, że nie jesteś zadowolony z mieszkania w tym zamku?

Dawid milczał przez chwilę, zastanawiając się, czy powinien powiedzieć prawdę.

- Nienawidzą go! Jestem Anglikiem, nie Francuzem. Oni są naszymi wrogami - popatrzył znowu bojaźliwie w stronę drzwi.

- Mylisz się, Anglia przyjaźni się z Francją. Oczywiście, że jesteś Anglikiem. Czy byłeś kiedyś w Anglii?

Dawid pokręcił głową.

- Nie, ale mój ojciec opowiadał mi o Anglii. Powiedział też, że kiedyś tam zamieszkać, ale wujek Etienne chce, żebym został tutaj - powiedział ciszej. - On ma nadzieję, że z Eton odeślą mnie zaraz po przyjeździe. Ale jeśli nie będę mógł tam zostać, ucieknę i schowam się gdzieś w Anglii, bo nie chcę tu więcej wracać! - mówił zapalczywie.

Arletta nie spodziewała się podobnych problemów. Kiedy zastanawiała się, co odpowiedzieć, otworzyły się drzwi i wszedł służący z tacą.

- Przesyłam pani pozdrowienia od naszego kucharza. Specjalnie dla pani zamówił angielską herbatę, bo my nie pijemy czegoś takiego w zamku.

- Bardzo dziękuję - odpowiedziała Arletta. - Po długiej podróży filiżanka herbaty to prawdziwa przyjemność.

Służący postawił tacę na stole, a na niej dzbanek z herbatą, filiżankę i dwa talerze. Na jednym leżały kanapki, na drugim patisseries nadziewane kremem, które tylko Francuzi umieli robić tak pięknie.

Gdy służący wyszedł z pokoju, dzieci podbiegły do stołu i z ciekawością wpatrywały się w herbatę.

- Pamiętam, że mój ojciec też to pił - powiedział Dawid - ale nam nie wolno. Musimy być Francuzami i pić kawę albo wino.

- Jeśli macie ochotę spróbować, to proszę bardzo - zaproponowała Arletta. - Może na początek weźmiecie sobie po kanapce?

Dzieci zjadły z apetytem kanapki i ciastka z kremem.

- Gdy Dawid wyjedzie do szkoły w Anglii, czy będę mogła zamieszkać z panią? - zapytała milcząca dotąd Paulina oblizując krem z palców.

- Kiedy Dawid pojedzie do Anglii, ty zamieszkaasz ze swoją ciotką - odpowiedziała Arletta. - Na pewno bardzo się z tego ucieszy.

- Wujek Etienne jej nienawidzi - odpowiedziała Paulina. - Skoro mam zamieszkać w Anglii, będę musiała znaleźć tam sobie dobrą kryjówkę, aby mnie nigdy nie znalazł.

Arletta nie próbowała odwozić jej od tego pomysłu.

- Będziecie musieli mi opowiedzieć, dlaczego wasz wujek tak bardzo nienawidzi Anglii - odezwała się po dłuższej chwili.

- On nienawidzi wszystkich i wszystkiego - powiedział Dawid. - A my za bardzo się go boimy, żeby mu to powiedzieć.

- Ależ to byłoby niegrzeczne, przecież mieszkacie w jego zamku! - zauważyła Arletta.

- On nas nienawidzi - szepnął cicho Dawid. - Zamiast pozwolić nam wyjechać, pewnie wolałby zamknąć nas w lochach!

- Jestem pewna, że to nieprawda - powiedziała Arletta. - W obecnych czasach nikogo nie trzyma się w lochach.

- Wujek zrobiłby to, gdyby mógł - przekonywał Dawid. - Pokażę pani lochy. Do tej pory leżą tam kości więźniów.

- Wcale nie mam ochoty tego oglądać - Arletta zadrżała i szybko ucięła temat. - Może pokażecie mi teraz nasze sypialnie?

Szli krętymi, kamiennymi schodami, tak wąskimi, że ledwie mieścił się na nich służący niosący jej bagaże. Usytuowana bardzo wysoko sypialnia, jak gdyby oddzielała ją od reszty świata. Pokoje dzieci znajdowały się nad salą szkolną, piętro niżej.

Z okien wychodzących na wszystkie strony miała wspaniały widok na okolicę. Podziwiała wysokie sklepienia z wiekowymi, rzeźbionymi belkami. Przestrzeń między nimi była koloru czerwonego i w takim samym kolorze dobrano dywan oraz krótkie zasłanki na oknach. Zobaczyła nad łóżkiem dziwny, heraldyczny wzór.

- Ten pokój zajmował kiedyś przodek wujka Etienne, który walczył z Brytyjczykami i zabił dwudziestu, nim sam w końcu padł - wyjaśnił Dawid. - Służący mówią, że często przychodzi do wieży; zresztą cały zamek jest pełen duchów - dodał po chwili wahania, jakby nie był przekonany, czy powinien to mówić.

- Naprawdę? - zapytała Arletta. - Czy kiedykolwiek widziałeś je na własne oczy?

- Ja widziałam - wtrąciła Paulina. - Widziałam mnóstwo duchów i chociaż służba ucieka z krzykiem, ja jestem odważna. Troszkę się pomodłę, jak nauczyła mnie mama, i duchy znikają.

- Widziałaś tylko cienie - powiedział pogardliwie Dawid. - Prawdziwe duchy w zamku to nie te, które możesz zobaczyć, ale takie, które się słyszy: jęki więźniów, wycie rannych i przeraźliwe krzyki tych, których zasztyletowano! - chłopiec był wyraźnie przejęty.

- Nie strasz mnie - powiedziała Arletta. - Poza tym Paulina też będzie się bała, jeśli nasłucha się takich opowieści.

Dawid wzruszył ramionami, jak to czasem robią Francuzi.

- Musimy z tym żyć i nieważne, co czujemy - powiedział. - A jeśli pani chce znać prawdę, nie wierzę, żebyśmy kiedykolwiek stąd uciekli i dostali się do Anglii.

- Ależ to nonsens! - powiedziała szybko Arletta. - Za rok jedziesz do Eton - najlepszej szkoły w Anglii - i dlatego właśnie lady Langley przekonała twojego wujka, abym tu przyjechała i nauczyła cię angielskiego. Będziesz musiał bardzo ciężko pracować, w przeciwnym razie znienawidzisz szkołę, w której nie będziesz mógł porozumieć się z innymi. Dlatego im szybciej zaczniemy, tym lepiej - dodała zachęcająco.

- Ja chcę się uczyć - powiedział Dawid - nie dlatego, że jadę do Eton, bo jestem prawie pewien, że wujek nie dopuści do tego, ale na wypadek ucieczki. Mam...

Przerwał, jakby się bał, że nie powinien opowiadać swoich tajemnic i szybko odszedł w stronę okna.

Arletta rozejrzała się dookoła. Służący wnieśli jej walizki i otworzywszy je, wyszli. Pomyślała, że powinna zająć się rozpakowywaniem i już chciała poprosić dzieci o pomoc, gdy weszła służąca w czepku.

- Ochmistryni powiedziała, że mam rozpakować pani rzeczy.

- To bardzo uprzejme - ucieszyła się Arletta. - Mam nadzieję, że znajdzie się jakiś pokój na moje ubrania.

- Tak - odpowiedziała służąca.

Arletta popatrzyła na zegarek swojej matki, który nosiła przypięty do bluzki.

- Jest już prawie szósta - zwróciła się do dzieci. - Powiedzcie mi, co robicie i o której chodzicie spać.

- Jemy obiad na dole w jadalni o siódmej - odpowiedział Dawid.

- W jadalni? - powtórzyła zdumiona Arletta.

- Wujek Etienne powiedział, że rodziny francuskie jadają razem: dzieci z rodzicami. Tylko Anglicy każą dzieciom iść spać wcześniej, bo nie lubią na nie patrzeć.

- Ależ to nieprawda! - zaprzeczyła żywo Arletta. - Angielskie dzieci chodzą spać wcześniej, bo po prostu potrzebują więcej snu niż dorośli.

- Wujek mówi, że tylko Francuzi odpowiednio traktują swoich krewnych, zarówno dziadków jak i maluchów, a angielskie dzieci zamyka się w pokojach dzieciennych lub salach szkolnych aż dorosną, ponieważ ich rodzice i inni dorośli uważają, że dzieci są nudne.

Arletta musiała przyznać, że było w tym trochę prawdy, jednak ksiązę stosował bardzo nieuczciwe metody, aby zrazić tę dwójkę do ojczyzny ich ojca.

- Mam wiele argumentów w obronie Anglików - powiedziała - jednak jestem bardzo zmęczona, chciałabym się umyć i przebrać, a potem do was przyjdę. Może pokażecie mi, gdzie będziemy jedli obiad?

- Dobrze - zgodził się Dawid - w takim razie au revoir.

Uklonił się w jej stronę według francuskiego obyczaju, a Paulina dygnęła lekko i wyszli z pokoju.

Arletta zwróciła się do pokojówki.

- Czy mogłabyś mi pokazać gdzie się umyć? Jeśli można, chętnie wezmę kąpiel.

- Kąpiel?! - powtórzyła zdziwiona. - Jakież to angielskie! Zaraz wydam polecenia, aby wszystko wnieśli na górę.

Arletta nie protestowała, chociaż czuła, że zwykła guwernantka tak by się nie zachowała.

Najpierw z wielkim trudem wniesiono niewielką wannę, potem służący przyniósł kilka konwi gorącej wody. Dopiero wtedy, za kurtyną w kącie pokoju, znalazła miednicę, którą jej przygotowano do mycia.

Książę nie będzie zadowolony z kąpieli na górze i pewnie wkrótce jej tego zabroni. Ale czy był w stanie dowiedzieć się o wszystkim, co działo się w tak ogromnym zamku? Z drugiej strony wydawało się oczywiste, sądząc ze sposobu, w jaki wyrażały się o nim dzieci, że rzucał cień na ich życie oraz na życie innych ludzi włącznie z panem Byien. Wszystko to było raczej fascynujące i kiedy siedząc w wannie obmywała z siebie trudy podróży, doszła do wniosku, że bardzo jej się tu podoba, choć ciężko będzie usunąć z dziecięcych głów uprzedzenia, jakie rozmyślnie zakorzenił w nich książę.

Obiad był uroczystym posiłkiem dla guwernantki i dwojga małych dzieci, zasiadających wspólnie do stołu. Kamerdyner

oraz trzech innych czekało już na nich w ogromnym, wytwornym pokoju jadalnym, który z pewnością pomieściłby sto osób.

Fotel księcia, znajdujący się w odległym końcu stołu, wyglądał jak tron.

Usiedli na swoich miejscach po przeciwnej stronie stołu. Obiad składał się z wielu doskonałych dań, które Arletta jadła z apetytem. Paulinie kleiły się oczy ze zmęczenia, ale Dawid pałaszował ze smakiem i odpowiadał na jej pytania dotyczące zamku. Wiedział dużo na temat rodziny Sauterre, gorzej było z historią Francji, która byłaby dla niego bardziej przydatna. Anglików pojmował jako wrogów.

- Przodkowie wujka Etienne byli na polu Złotogłowiu - powiedział uroczyście Dawid - i walczyli próbując uratować Joannę d'Arc, którą Anglicy spalili na stosie, chociaż była świętą!

- To było bardzo dawno - odpowiedziała zdecydowanie Arletta.

- Anglicy wygrali Bitwę pod Waterloo - mówił dalej Dawid - a potem wykazali się wielkim okrucieństwem w stosunku do Napoleona, kiedy był więźniem na wyspie św. Heleny.

- Uważam - powiedziała Arletta - że zanim wyjedziesz do Anglii, powinieneś nauczyć się trochę historii tego kraju. Nie zapominaj, Dawidzie, że jesteś potomkiem starego, arystokratycznego rodu. Redruthowie byli przywódcami, czy nawet królami Kornwalii na długo, zanim Wilhelm Zdobywca wtargnął do nas z Normandii.

Kiedyś dowiedziała się o tym od Jane i nigdy nie przypuszczała, że może nadejść chwila, w której wiadomość ta okaże się bardzo ważna.

- Był Francuzem i dlatego wygrał! - powiedział Dawid.

- Ale obecnie Imperium Angielskie rozciąga się na ponad połowę świata - westchnęła. - Powinieneś nauczyć się tego. Moim zdaniem, miałeś w życiu wiele szczęścia - dodała po chwili.

- Dlaczego? - zapytał Dawid trochę naburmuszony.

- Bo jesteś zarówno Anglikiem jak i Francuzem, dlatego musisz postarać się zrozumieć oba te kraje i zrobić wszystko, aby żyły w pokoju.

Dawid popatrzył zdumiony.

- Niektórzy Redruthowie byli też mężami stanu i dyplomatami. Należy dowiedzieć się, w jaki sposób zdołali zapobiec wojnie i stworzyć przyjazne stosunki między Anglią i Francją - krajami, które zawsze się nienawidziły.

Nie była do końca pewna, czy wszystko co powiedziała jest prawdą, ale przecież Dawid nie mógł mieć dość wiadomości, aby powiedzieć, że się myli!

- Czy pani uważa, że wojna jest czymś złym? - zapytał.

- Jest okrutna, nikczemna i zła. Podczas wojny wielu mężczyzn traci rzecz najcenniejszą: życie.

Dawid myślał o tym przez chwilę.

- A jeśli nie zależy im na życiu? - zapytał.

- Każdy chce żyć, szczególnie, gdy jest młody - odpowiedziała Arletta. - Życie jest ekscytujące jak przygoda. Można się uczyć, pracować lub przeznaczyć czas na rozrywkę - widziała, że Dawid przysłuchuje się jej uważnie - dlaczego ktoś miałby tracić coś tak cennego? Tylko z powodu politycznych rozgrywek albo dlatego, że jakiś chciwy władca chce zająć ziemie innych państw?

Czuła niedosyt w swojej wypowiedzi. Należało rozszerzyć ten temat, opisać go dokładniej, ale Dawid i tak był pod wrażeniem.

- Wujek Etienne chce, abym kiedyś wstąpił do armii francuskiej - powiedział po chwili.

- Ależ nigdy nie powinieneś tego robić! - odparła bez chwili zastanowienia. - Jestem pewna, że twój ojciec byłby przerażony, gdyby dowiedział się, że jego syn walczy przeciwko własnej ojczyźnie w wojskach innego kraju - dodała gwałtownie.

Dawid patrzył na nią zdumiony. Dała się ponieść emocjom z powodu czegoś, co stanowiło element jej własnego wychowania. Nigdy przedtem nie uwierzyłaby, że jakiś angielski chłopiec mógłby mówić takie rzeczy, jak Dawid w tej chwili!

- Jeśli już skończyłeś, powinniśmy udać się na górę. Paulina na pewno chce spać - powiedziała pospiesznie.

- Jestem taka zmęczona - narzekała dziewczynka.

- Wiem - powiedziała Arletta. - Kto cię kładzie do łóżka? Może ja powinnam to zrobić?

- Nie, chcę do niani! - zaprotestowała Paulina. - Chcę do mojej niani!

Za drzwiami pokoju jadalnego czekała Francuzka w średnim wieku, o dobrodusznej twarzy, która przygarnęła wyczerpaną dziewczynkę.

- Nasza maleńka jest już zmęczona, proszę pani - wyjaśniła Arletcie. - To przecież jeszcze dziecko i powinna długo spać, ale jaśnie pan każe, aby dzieci jadały na dole. A dzisiaj, z powodu pani przyjazdu, nie odpoczywała przed obiadem.

- Nie można dopuścić, aby podobne rzeczy zdarzały się w przyszłości - zdecydowała Arletta.

- Jestem taka zmęczona, taka zmęczona - kwiliła Paulina.

Niania wzięła ją na ręce i zaniósła do sypialni.

- Ty także idziesz już spać? - Arieta zwróciła się w stronę Dawida.

- Jeszcze nie.

- W takim razie może oprowadzisz mnie trochę po zamku, czy uważasz, że jest już zbyt późno?

Dawid uśmiechnął się szeroko.

- Kiedy nie ma wujka Etienne, nikt nie może nam tego zabronić - powiedział. - A ja bardzo chcę pokazać pani zamek.

- Świetnie - ucieszyła się Arletta - w takim razie chodźmy, bo za chwilę zrobi się ciemno.

Zamek był ogromny. Miał trzy wieże podobne do tej, w której mieszkały dzieci. W środkowej części mieściły się wielkie salony z przepięknymi widokami na starannie pielęgnowane ogrody. Stawy ozdobiono starożytnymi urnami, a ogromne fontanny wyrzeźbiono w kształcie Kupidynów i delfinów.

Arletta urzeczona była pięknem i porządkiem panującym w ogrodzie oraz zamkiem utrzymanym w zbytku i luksusie. Tuż po przyjeździe zauważyła, że większość mebli pochodziła z czasów Ludwika XIV i zastanawiała się, w jaki sposób uchroniono je od zawieruchy rewolucyjnej?

- Wujek Etienne mówi, że podczas rewolucji większość wartościowych rzeczy schowano w bezpiecznych miejscach, na przykład w górskich jaskiniach lub lochach, do których nikt niepowołany nie znalazłby dostępu - wyjaśnił Dawid. - W istocie, zamek księcia nie został splądrowany jak inne, które były położone bliżej Paryża. - Mieszkamy w odludnej okolicy - ciągnął Dawid - i nie było tu wielu ludzi, którzy buntowaliby się przeciwko ówczesnemu księciu.

- Miał szczęście - zauważyła Arletta.

- Dla wujka Etienne to tylko jeszcze jeden powód do dumy. Słyszałem, jak ktoś ze służby mówił, że on uważa siebie za boga! - powiedział wzruszając ramionami Dawid.

- Dawidzie - upomniała go Arletta - nie powinieneś mówić takich rzeczy o swoim wujku!

- Ale dlaczego nie do pani? - zapytał Dawid. - Pani jest wrogiem, który został mu narzucony. On pani już nienawidzi, choć jeszcze pani nie poznał!

- Naprawdę tak sądzisz? - zapytała wstrząśnięta do głębi Arletta.

- Po wyjeździe ciotki Margaret, powiedział do nas: „Wasza ciotka zatrudniła wbrew mej woli angielską guwernantkę, która będzie was uczyć owego barbarzyńskiego języka. W twoim przypadku jest to szczególnie pilne, Dawidzie, bo już niedługo wyjedziesz do Anglii, aby przeżyć prawdziwe piekło w tej ich tak zwanej szkole publicznej”.

- Ależ to nieprawda! - krzyknęła Arletta. - Twojemu ojcu na pewno bardzo się podobało w Eton. Wszyscy, którzy się tam uczyli, są dumni ze swojej szkoły. Byliby przerażeni, gdyby wiedzieli, co ty o niej myślisz.

- Jestem przygotowany pójść nawet do piekła, czy gdziekolwiek indziej, pod warunkiem, że będzie daleko stąd! - odpowiedział Dawid.

Byli w bibliotece. Arletta przyglądała się tysiącom książek w ogromnym pokoju. Nikt nie powinien wciągać dzieci w problemy ludzi dorosłych, a wtedy na pewno pokochałyby ten wspaniały zamek i znalazłyby w nim wiele ciekawych zajęć i zabaw. Usiadła przy pustym kominku.

- Powiedz mi, Dawidzie, dlaczego tak bardzo nienawidzisz tego miejsca?

Zerknął ukradkiem przez ramię, jak wcześniej, aby się upewnić, że nikt ich nie podsłuchuje i przysunął się trochę bliżej.

- Tu jest okropnie! Kiedy żyła mama, mogłem jeszcze wytrzymać, ale teraz jest tu gorzej niż w więzieniu.

- Ale dlaczego? Dlaczego tak mówisz?! - dopytywała się Arletta.

Dawid wahał się chwilę. Nie była pewna, czy powie prawdę.

- To przez wujka Etienne! On nas nie cierpi, bo nasz tatuś był Anglikiem. - Po chwili dodał ciszej: - On jest mordercą! Zabił już dwie kobiety!

Rozdział 3

Arletta stała w sypialni przy oknie. Miała za sobą niezwykle, lecz bardzo udany dzień.

Okazało się, że Dawid zetknął się już z językiem angielskim, o czym przedtem nie wiedziała. Ojciec za życia często rozmawiał z nim w ojczystym języku. Dopiero po jego śmierci, gdy Dawid miał sześć lat, matka przeprowadziła się z dziećmi do księcia. Od tego momentu stracił kontakt z zakazanym w zamku językiem angielskim.

Już na pierwszej lekcji Dawid przypomniał sobie dużo słówek, gorzej było z gramatyką. Jednak pilnie się uczył i Arletta stwierdziła, że szybko robi postępy. Postanowiła uczyć dzieci oddzielnie. Paulinę na początek próbowała zaciekawić nazwami kwiatów, potraw i innych otaczających ją przedmiotów. Dziewczynka bardzo się starała, ale szło jej dużo trudniej niż bratu. Arletta uznała, że przygotowanie Dawida do angielskiej szkoły jest ważniejsze.

Czekało ich wiele pracy, poczynając od skorygowania sposobu, w jaki zapisywał sumą w arytmetyce, a kończąc na tytułowaniu ludzi. Gdyby w angielskiej szkole budował zdania na francuskich zasadach, wszyscy śmialiby się z niego. Lekcje z Dawidem na pewno zabiorą dużo czasu, ale zdążyła już je polubić. I wciąż ciekawił ją zamek.

Dawid powiedział wczoraj, że jego wujek zamordował dwie kobiety. Z początku myślała, że to żart lub kłamstwo, jakie wymyślają mali chłopcy, chcąc kogoś zadziwić. Uznała jednak, że jest to zagadka, którą z czasem postara się rozwiązać.

Tamtego wieczoru nie rozmawiała już z Dawidem na ten temat. Natomiast rozmyślała o tym dość długo rano: jeśli naprawdę Dawid wierzy, że jego wujek jest mordercą, dlatego tak trudno mu znaleźć tu szczęście.

Po skończonej lekcji wciąż rozmawiając po angielsku, udali się do ogrodów, a potem do stajen. Spodziewała się ujrzeć tam piękne konie, podobne do tych, które ciągnęły powóz ze stacji kolejowej. Jednakże myliła się. Stajnie książęce zajmowały wspaniałe araby, jakich nigdy w życiu nie widziała.

- Wujek Etienne ma stajnie koni wyścigowych w Chantilly - powiedział Dawid. - Tych tutaj dosiada osobiście, także my mamy pozwolenie na nich jeździć.

Oczy Arletty zaśniły.

- Czy myślisz, że ja też mogłabym jeździć z wami?

- Oczywiście, jeśli tylko pani chce - odpowiedział Dawid.

- Chociaż nigdy bym nie pomyślał, że angielska guwernantka może interesować się jazdą konną - zaśmiał się. - Pani w ogóle nie jest taka, jak myślałem.

- Czy książę mówił ci coś o mnie? - zapytała Arletta.

- Powiedział, że będzie pani napuszona, brzydka i bardzo surowa - odpowiedział i nie wiedziała czy mówił prawdę, czy tylko się z nią droczył.

Po lunchu udali się we dwoje na konną przejażdżkę. Paulina wolała zostać z nianią.

Dawid pokazał jej piękne wiejskie okolice z gęstymi lasami, które mogły być doskonałym tłem do bajek o smokach. Nowe drzewa sadzono tak, aby między nimi znajdowały się alejki umożliwiające wygodną jazdę konną i strzelanie. Takie obszary były pod staranną opieką leśników, których spotkali w lesie.

Arletta zdążyła się zorientować, że książę doskonale zarządzał swoim majątkiem. Jednak zmartwił ją jeden, drobny epizod. Podczas przejażdżki zatrzymali się, aby zamienić kilka słów z pracownikami na niewielkim polu winorośli. Nadzorca, który poznał Dawida, podszedł, żeby z nimi porozmawiać.

- Miło widzieć tu jaśnie panicza - powiedział uprzejmie i zerknął z ciekawością na Arlette.

- To jest Pierre Beauvais, proszę pani - przedstawił go Dawid. - Dogląda wszystkich książeńcych winogron, z których potrafi wyczarować najwspanialsze wino.

- Przyjechałam do zamku - odezwała się po francusku Arletta, wyciągając rękę - aby uczyć panicza Dawida i panienkę Paulinę języka angielskiego.

Pierre Beauvais patrzył na nią zdumiony.

- Pani jest guwernantką?

Arletta kiwnęła głową. W tym czasie Dawid odjechał, aby porozmawiać z kimś pracującym na polu.

- C'est impossible! Pani powinna natychmiast wrócić do domu, tu nie będzie pani szczęśliwa!

- Dlaczego pan tak sądzi?

Pierre Beauvais odwrócił głowę, jakby nagle poczuł się bardzo niezręcznie.

- Niech pani wraca do domu, tak będzie lepiej! - dodał jeszcze pospiesznie, bo nadjeżdżał Dawid.

To wydarzenie dało jej dużo do myślenia.

Po powrocie do zamku zastali czekającą na nich Paulinę. Tym razem nie poszli do sali szkolnej, tylko do biblioteki. Arletta postanowiła znaleźć kilka książek z obrazkami, żeby urozmaicić dzieciom naukę.

Na półkach stało jednak zbyt wiele książek i bez pomocy katalogu nie można było znaleźć żadnej konkretnej pozycji.

Razem z dziećmi zajęła się więc szukaniem na chybił trafił.

Nagle drzwi biblioteki otworzyły się i wszedł jakiś mężczyzna. Arletta popatrzyła zaskoczona. Był młody, przystojny i bardzo elegancki. Nie miała pojęcia, kim jest.

- Cześć, kuzynie Jacques! Nie wiedziałem, że dziś wracasz! - zawołał Dawid bezceremonialnie.

- Wróciłem - odpowiedział nieznajomy - i widzę, że mamy gościa.

- Nazywam się Jane Turner, proszę pana - powiedziała, podchodząc do niego.

Nie miała pojęcia, jak go tytułować.

- Pani jest guwernantką? - zapytał wyraźnie zaskoczony.

Ciekawe, dlaczego ci ludzie robią tak dużo zamieszania wokół jej wyglądu?

- Rozumiem - odezwała się chłodno - że nie spodziewał się pan mnie tu zastać.

- Ależ spodziewałem się zastać angielską guwernantkę, a pani na nią nie wygląda!

- Nie rozumiem - powiedziała Arletta - co wygląd ma do rzeczy. Jestem tu tylko po to, by uczyć.

- Chyba powinienem się przedstawić - powiedział młody człowiek - nazywam się Jacques de Sauterre. Hrabia Jacques, mówiąc oficjalnie. Jestem kuzynem księcia i mieszkam czasem w tym zamku, jeśli akurat nie bawię w Paryżu.

- Przyjechałam zaledwie wczoraj, więc rozumie pan, hrabio, że nie zdążyłam się jeszcze zaznajomić z całym domostwem - uśmiechnęła się Arletta.

- Nic dziwnego - zgodził się hrabia. - Przypuszczam, że dzieci nic pani o mnie nie wspomniały. To dwa nieznośne łobuziaki, może pani uda się je poskromić!

Myślała, że żartuje, ale Dawid był naburmuszony, a Paulina, raz tylko spojrzawszy, gdy wchodził, odwróciła się i zajęła przeglądaniem książki.

- Jak pani widzi, jesteśmy wielką, udaną rodzinką - powiedział drwiąco hrabia. - Przypuszczam, że nie poznała pani jeszcze naszej księżnej.

- Księżnej? - Arletta nie ukrywała zdziwienia. Nie przypuszczała, że w zamku mieszka jakaś kobieta.

- To babcia księcia - wyjaśnił hrabia - jest bardzo stara i schorowana. Rzadko kiedy interesuje się gośćmi, chyba że jest ich ciekawa - popatrzył na Arlettę w sposób cokolwiek obraźliwy. - Jednak panią na pewno zechce zobaczyć, panno Turner!

- Proszę wybaczyć, ale jesteśmy bardzo zajęci - odpowiedziała chłodno Arletta.

- Jeśli spodziewa się pani znaleźć tu jakieś książki w języku angielskim, to nic z tego - zauważył hrabia.

- Nie spodziewałam się ich tu znaleźć - odpowiedziała Arletta. - Nie widzę też nigdzie katalogu, dlatego w ogóle nie wiem co tu jest.

- Katalog musi gdzieś być - rzekł hrabia. - Nigdy nie uwierzę, żeby w domu mojego znakomitego, godnego poszanowania kuzyna, nie było czegoś na swoim miejscu - dodał złośliwie.

Arletta podeszła do Pauliny i popatrzyła na książkę, którą dziewczynka trzymała w ręce.

- Weźmiemy ją na górę? - zapytała.

- Nie, bo jest bardzo nudna - odpowiedziała Paulina. - Potrzebuję książeczkę z obrazkami ptaków, kwiatów i innymi angielskimi widokami.

- Czegoś takiego na pewno tu nie znajdziesz, a jeśli twój wuj usłyszy, że o to prosisz, będzie się bardzo gniewał - zaśmiał się hrabia.

Paulina nie zwróciła uwagi na jego słowa.

- Proszę mi taką znaleźć, proszę pani - Paulina popatrzyła na Arlettę.

- Postaram się - odpowiedziała Arletta. - Nie wiem tylko, z której strony zacząć.

Próbowała zignorować hrabiego, który stał obok i przyglądał się jej zuchwale.

- Chciałbym porozmawiać z panią na osobności - powiedział po chwili, jakby powziął jakąś decyzję. - Czy możemy przejść w drugi koniec pokoju?

Arletta zawahała się. Nie miała ochoty rozmawiać z tym człowiekiem, ale też nie mogła zachować się niegrzecznie. Należało być uprzejmą dla wszystkich krewnych pracodawcy.

Po angielsku poprosiła Dawida, aby nie przerywał szukania kolorowych książek i niechętnie usiadła na sofie przy ogromnym, rzeźbionym kominku. Zaraz też pożałowała swojej decyzji, ponieważ hrabia usiadł obok niej.

- To błąd, że pani tu przyjechała - powiedział ściszym głosem.

- Błąd? - zapytała Arletta.

- Tu nic się nie dzieje, a we Francji jest wiele ciekawych miejsc, w których można się świetnie zabawić, szczególnie jeśli ma się tak śliczną buzię jak pani.

- Zupełnie nie rozumiem, o czym pan mówi - powiedziała Arletta. - Przyjechałam tu na prośbę mojej przyjaciółki, lady Langley, aby uczyć dzieci.

- Jeśli tak, proszę przynajmniej przyjąć moją pomoc - powiedział. - Nie będzie pani łatwo radzić sobie z księciem. On pani nienawidzi i gdy tylko wróci, cały zamek okaże się bardzo nieprzyjemny.

- Jestem pewna, że mówi to pan z życzliwości, hrabio - odpowiedziała Arletta. - Jednak przygotowałam się stawić czoło księciu, skoro już tu przyjechałam. Postaram się dać z siebie wszystko do jego powrotu.

- To „wszystko” brzmi bardzo zachęcająco - powiedział hrabia - będę więc troszczył się o panią, służył pomocą i dobrą radą.

- Dziękuję za uprzejmość, lecz mówiąc szczerze, jestem Angielką i sama potrafię o siebie dbać - zakończyła rozmowę Arletta i odeszła.

Zaśmiała się cicho. Jane, gdy ją ostrzegała, z pewnością miała na myśli mężczyzn takich jak on. Arletta obawiała się, że zamiast obiecanej pomocy, ten młody człowiek przysporzy jej jedynie kłopotów.

Odetchnęła z ulgą, gdy wyszedł z biblioteki. Kiedy znaleźli kilka książek, które mogły okazać się przydatne, wrócili się do sali lekcyjnej.

- Nie lubię kuzyna Jacquesa - stwierdził Dawid, gdy weszli na górę i znowu zerknął przez ramię.

- Ani ja - dodała Paulina.

- Jest dziwny, a ja czuję się skrępowany w jego obecności. - Dawid zamyślił się, a potem dodał: - I nawet nie umiałbym wytłumaczyć dlaczego. Mama mówiła, że powinniśmy być uprzejmi dla wszystkich, jeśli chcemy być lubiani. Kuzyn Jacques także jest uprzejmy, ale nieszczerzy.

Arletta w zupełności zgadzała się z Dawidem. Zdziwiła ją nadzwyczajna spostrzegawczość małego chłopca. Życie w zamku i panująca tu atmosfera udzieliła się również jemu, dlatego stał się zupełnie inny niż jego rówieśnicy. W szkole będą go mieli za dziwaka.

- Gdyby wszyscy zachowywali się poprawnie, łatwiej byłoby polubić się wzajemnie - powiedziała beztrosko - chociaż nie zawsze jest to możliwe. Najważniejsze są dobre chęci.

Dawid nie słuchał. Bawił się żołnierzykami, które od wczoraj czekały rozstawione na stole. - To bardzo ładna kolekcja - pochwaliła Arletta. - Od kogo ją dostałeś?

- Od wujka Etienne - odrzekł Dawid. - Kazał je dla mnie zrobić. Myślę, że chciał raczej zainteresować mnie służbą we francuskiej armii niż sprawić mi przyjemność.

Rozumowanie takie znowu wydało się Arletcie dosyć niezwykle, jak na jedenastoletniego chłopca. Może ona, jako guwernantka, powinna próbować zmienić jego sposób

pojmowania rzeczywistości. Ciekawe, co Jane zrobiłaby na jej miejscu? Jej przyjaciółka była realistką, ojciec powiedziałby, że twardo stąpa po ziemi i, wyjąwszy osobę Simona Suttona, nie zaprzętała sobie głowy fantazjami. Z realiami zamku prawdopodobnie zmierzyłaby się w swój zwykły, bezpośredni sposób.

Ale Arletta była pod urokiem zamku, wywierał na nią niezwykle, magiczny wpływ, chociaż jednocześnie wydawał się tajemniczy i groźny. Dowiedziała się, że główna część budynku pochodziła z późniejszych czasów niż wieże. Tam były wysokie okna, w komnatach wisiały wspaniałe gobeliny i obrazy, a kryształowe żyrandole urzekały bajecznym blaskiem.

Dzieci, przyzwyczajone do takich widoków, wołały raczej zabrać ją do zbrojowni. Zgromadzono tam starą bron, używaną kiedyś przez kolejne pokolenia rodziny Sauterre. Na środku pomieszczenia stała armata, a obok niej, ułożone w stos okrągłe, żelazne kule. Dzieci chciały pokazać jej także lochy, lecz zrobiło się późno i nawet Dawid doszedł do wniosku, że jest zbyt ciemno.

Tuż przed obiadem, kiedy dzieci poszły do swoich pokoi, aby się przebrać, a Arletta także miała zamiar udać się na górę - zjawił się lokaj.

- Jej Księżęca Mość życzy sobie widzieć panią! - powiedział.

W drodze do apartamentów babci księcia, Arletta czuła dreszcze emocji przenikające jej ciało.

Zastanawiała się, czy księżna będzie podobna do jej własnej babci, po której otrzymała imię. Miała w pamięci zamglony obraz sprzed wielu lat, gdy babcia przyjechała, aby zamieszkać razem z całą rodziną. Działo się to, zanim ojciec odziedziczył tytuł, przed ich wprowadzeniem się do rodzinnej posiadłości.

Babcia była niezwykle wytworna. Arletta pamiętała jej siwe włosy, delikatne rysy twarzy i długie, szczupłe ręce. Miała w sobie wiele dostojeństwa, ale radosne usposobienie zdradzały oczy i lekki, melodyjny śmiech.

- Szkoda, że umarła, gdy byłam taka młoda - mawiała z żalem Arletta.

Lokaj przeprowadził ją długimi korytarzami na przeciwległą stronę zamku, której Arletta jeszcze nie знаła.

Ozdobną klatką schodową weszli na pierwsze piętro.

- Dobry wieczór - przywitała ich pokojówka i popatrzyła na lokaja - musisz poczekać, Jean, aby panią odprowadzić, mogłaby zabłądzić w drodze powrotnej.

- To prawda - powiedziała Arletta - proszę poczekać, bo sama na pewno sobie nie poradzę.

Pokojówka wprowadziła ją przez ozdobnie malowane drzwi do małego holu i już po chwili Arletta znalazła się w sypialni księżnej.

Pokój zdecydowanie różnił się od innych komnat tego zamku. Zauważyła, że ogromne łóże stało na podwyższeniu, a z kwiatowej korony przymocowanej do sklepienia opadały zasłony. Wsparta na wielu poduszkach, w łóżu leżała dziwaczna staruszka. Czas poznał jej piękną niegdyś twarz zmarszczkami. Siwe, ładnie ułożone włosy, były prawdopodobnie peruką. Szyję ozdabiały sznury ogromnych pereł, a uszy diamentowe kolczyki, które poruszały się i błyszczały przy najmniejszym ruchu. Palce obu rąk pokryte siateczką niebieskich żył ozdabiały pierścionki, a na każdym przegubie brzęczało chyba po pół tuzina bransolet. Mimo ciepłej pory, jej łóże przykryto poźółkłą narzutą z gronostajów.

Arletta zbliżyła się i dygnęła lekko.

- Czy nazywasz się Jane Turner i przyjechałaś tu uczyć moje wnuki? - zapytała księżna, przeszywając ją wzrokiem.

- Tak, Wasza Książęca Mość.

- Nie wierzę. Przyjechałaś do zamku, aby zobaczyć mojego wnuka. To jest prawdziwy powód twojego przyjazdu!

- Zapewniam Waszą Książęcą Mość - odpowiedziała Arletta - że jestem tu na prośbę lady Langley, Podczas pobytu w zamku stwierdziła, że jej bratanek i bratanica nie potrafią mówić po angielsku, dlatego poprosiła mnie o nauczenie ich ojczystego języka.

- Ojczystego języka?! - powtórzyła wyraźnie poruszona księżna. - Lepiej, żeby mój wnuk nie słyszał, jak mówisz coś takiego! On nienawidzi Anglików i któż by się temu dziwił? A jeśli masz nadzieję wydać się za niego, mówię ci, że obrałaś sobie złą drogę!

- Wasza Książęca Mość jest w błędzie - zaprotestowała Arletta, - Nie pojmuję, skąd takie podejrzenia; one nie mają nic wspólnego z prawdą.

Arletta pomyślała, że Jane postawiona w podobnej sytuacji bardzo by się zdenerwowała. Jednak z powodu wątpliwej urody, nikt by jej nie posądził o próbę szukania męża w osobie samego księcia Sauterre.

Księżna oglądała Arlettę od góry do dołu.

- Muszę przyznać, że jesteś ładna, ale tutaj nie jest właściwe miejsce, abyś obnosiła się z tą swoją urodą. Im szybciej wrócisz tam, skąd przyjechałaś, tym lepiej dla ciebie i innych. Zapewniam cię, że mój wnuk nie ma czasu dla guwernantek!

- Ośmielam się zapewnić Waszą Książęcą Mość - powiedziała Arletta wolno i wyraźnie - że nie interesuje mnie jej wnuk, którego jeszcze nie poznałam, interesują mnie tylko dzieci, które przyjechałam tu uczyć.

Dygnęła, odwróciła się i odeszła w stronę drzwi.

- Attendez! Jak śmiesz odchodzić bez pozwolenia?! Masz wrócić natychmiast! - usłyszała w progu krzyk księżnej.

Odwróciła się tylko, nie robiąc ani kroku w kierunku łoża, i patrzyła, dumnie unosząc głowę. Nieoczekiwanie staruszka zaśmiała się.

- Kim byś nie była, przynajmniej masz charakter - powiedziała. - Ludzie często się mnie boją. - Ponieważ Arletta milczała, księżna rozkazała: - Podejdź tu! Chcę ci się przyjrzeć!

Wolno i niechętnie Arletta zbliżyła się, ponownie stając obok łoża księżnej.

- Jesteś bardzo ładna i szlachetnie urodzona - mruzczała jakby do siebie staruszka. - Ciekawe, dlaczego Jacques tak bardzo chce, abyś wyjechała? - zastanawiała się głośno.

Arlette zdziwiła ta nowina, jednak nie próbowała rozmawiać na ten temat z księżną.

- Przepraszam Waszą Księżęcą Mość - powiedziała po chwili - ale jeśli natychmiast stąd nie wyjdę, spóźnię się na obiad. Jestem pewna, że to będzie wielkie wykroczenie w tym niezwykle punktualnym i świetnie zorganizowanym domostwie.

- Masz rację! - uśmiechnęła się księżna. - Ale chcę cię jeszcze widzieć, rozumiesz? Poślę po ciebie jutro, wtedy mi wszystko o sobie opowiesz.

- Dziękuję Waszej Księżęcej Mości, dobranoc!

Arletta raz jeszcze dygnęła i odeszła nie oglądając się za siebie. Za drzwiami czekał na nią lokaj, aby poprowadzić ją skomplikowaną drogą do pokoju.

- Dziękuję - powiedziała, gdy stanęli przy schodach prowadzących na wieżę.

- Dziwna starsza pani, prawda? - zapytał lokaj. - Niektórzy twierdzą, że jest czarownicą! We wsi to jest taka jedna, ale prawdziwa. Jeśli chce pani sobie powróżyć, ona zrobi to najlepiej!

Zdziwiona Arletta dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że jego słowa nie świadczyły o zuchwalstwie, lecz raczej o sympatii.

- Moim zdaniem - odpowiedziała - lepiej nie znać przyszłości, bo można się rozczarować, ale dlaczego pan uważa, że ta kobieta we wsi jest czarownicą?

- Jest nią na pewno - odpowiedział lokaj. - Trzeba bardzo uważać, aby jej nie obrazić.

- Nie zrobię tego - powiedziała Arletta - i jeszcze raz dziękuję.

Pobiegła na górę krętymi schodami. Z każdą chwilą wszystko stawało się coraz bardziej niejasne i pogmatwane. Nigdy nie spotkała równie dziwacznej staruszki, jak babcia księcia. A ona także usiłowała ją namówić do opuszczenia zamku. Dlaczego wszyscy chcieli się jej pozbyć? Zamek musiał kryć w sobie jakąś tajemnicę i Arletta postanowiła zrobić wszystko, aby ją poznać.

- Czy to możliwe, żeby książę był mordercą? - rozmyślała głośno, zmieniając suknię.

Żałowała, że nie poleciła służącej przygotować kąpieli.

- Muszę dać jej do zrozumienia, że codziennie wieczorem chcę się wykapać - zdecydowała. W zamku znajdzie się dość służby, aby tego dopilnować.

Hrabia jadł obiad razem z nimi i przez cały czas rozmawiał tylko z Arlettą Dawid i Paulina prawie się nie odzywali. Arletta nie wiedziała, jak temu zaradzić. Była zażenowana jego komplementami i czuła, że nie są szczerze.

Po obiedzie próbował namówić ją, aby poszła do jednego z salonów. Odmówiła, tłumacząc, że musi odprowadzić dzieci na górę. Niania Pauliny już czekała, żeby ułożyć małą do łóżka i Arletta została sama z Dawidem.

- Widzę, że pani także nie lubi kuzyna Jacquesa - powiedział, kiedy drzwi zamknęły się za nimi.

- Nie powiedziałałam czegoś takiego! - zaproponowała ostro Arletta.

- Mówiłem, że jest jakiś dziwny - ciągnął niezrażony Dawid.

- Wiesz dobrze, że nie wolno mi tu nikogo krytykować - strofowała go Arletta.

- Ja nic nikomu bym nie powtórzył - rzekł chłopiec - ale musi być pani ostrożna, bo ktoś może podsłuchiwać.

- Któż robiłby takie rzeczy?

- Służące nadstawiają uszu i powtarzają wszystko prababci, a mężczyźni szpiegują dla wujka Etienne - odpowiedział Dawid, wzruszając ramionami.

- Nie wierzę! - powiedziała Arletta nie zwracając uwagi na ponowne wzruszenie ramionami. - Czy jest tu coś, co opłaci się szpiegować? - Moim zdaniem dzieją się tu takie rzeczy tylko dlatego, że mieszkacie w odosobnieniu. Zarówno ty, jak i Paulina powinniście zaprzyjaźnić się z innymi dziećmi. Na pewno są jakieś w okolicy!

- Jeśli są to wujek Etienne nie pozwoli nam zbliżyć się do nich - powiedział Dawid. - Ale kuzyn Jacques ma przyjaciół.

Arletta chętnie dowiedziałaaby się czegoś więcej na temat tych ludzi, lecz nie chciała wypytywać o to chłopca. Później, już leżąc w łóżku, przypominała sobie niezwykle wydarzenia minionego dnia. Postanowiła opisać je kiedyś w liście do Jane i wysłać na Jamajkę.

- Gdybym miała zdolności, mogłabym nawet napisać powieść - rozmarzyła się. - Byłabym główną bohaterką, ale gdzie tu szukać bohatera?!

Następnego ranka z ulgą przyjęła nowinę o wyjeździe hrabiego do przyjaciół.

- Będzie tu bez niego dużo lepiej - rzekł ponuro Dawid. - On mówi jedno, a myśli drugie.

- Jesteś bardzo kapryśny - przekomarzała się Arletta, choć w duchu przyznawała mu rację. - Chłopcy w twoim wieku powinni myśleć o krykiecie, konnej jeździe, strzelaniu i oczywiście o nauce!

- Myślę o tym wszystkim - odpowiedział Dawid - oprócz krykieta, bo wuj stwierdził, że to angielska gra. Na pewno będę grał w to później, gdy wyjadę do Eton, bo mój papa był kiedyś w pierwszej jedenastce.

- To tak, jak mój - odrzekła Arletta. - Wiesz, jestem kobietą, ale mogę ci pokazać, jak się gra w krykieta. Trzeba będzie namówić kogoś ze służby, aby nam rzucał piłkę.

Pomysł Arletty bardzo przypadł Dawidowi do gustu. Poszła więc do pana Byiena. Swoją drogą ciekawe, dlaczego jej, guwernantce, pozwolono jadać w pokoju stołowym, a sekretarzowi nie. Znalazła go w biurze i gdy wyjaśniła, czego chce, wyglądał na bardziej zmartwionego niż zwykle.

- Chyba powinna pani z tym zaczekać i zapytać księcia o pozwolenie - stwierdził.

- Przecież nikt nie wie kiedy wróci - odpowiedziała Arletta. - Dawid powinien mieć pojęcie o zasadach i tej gry. Jest bardzo zaciekawiony, nie mogę odwlekać w nieskończoność obietnic danych dziecku.

- Niech już będzie! Wygrała pani! Ja też za młodu grywałem w krykieta, zobaczymy, jak po wielu latach dam sobie radę z piłką - roześmiał się pan Byien.

Ogrodnicy przygotowali kilka palików, a pan Byien, ku wielkiemu zdziwieniu Arletty, wydobył skądś kij do krykieta i piłkę, które, choć bardzo stare, nadawały się jeszcze do użytku. Już po niewielkim treningu Dawid nauczył się całkiem nieźle radzić sobie z kijem i piłką: trafił więcej razy aniżeli spudłował. Dla pana Byiena, z powodu wieku, gra okazała się zbyt męcząca. Obiecał dowiedzieć się, czy któryś z młodszych

mężczyzn zechce zająć jego miejsce, aby Dawid nie musiał przerywać ćwiczeń.

- Wolałbym pana - powiedział Dawid po angielsku - bo nie byłoby jakiego pana sportowca!

- To chyba największy komplement, panie Byien - zaśmiała się Arletta, a on musiał przyznać, że miała rację.

Po skończonym treningu, gdy wrócili do zamku, Arletta z zadowoleniem myślała o osiągnięciach chłopca w tak krótkim czasie, choć niewątpliwie czekało ich jeszcze dużo pracy.

Tego wieczoru, po upalnym dniu, Paulina była tak zmęczona, że kolację zjadła w sali lekcyjnej razem z nianią. Arletta z Dawidem jedli samotnie w pokoju jadalnym. Rozmawiali po angielsku. Czasem, gdy Dawid chciał powiedzieć coś bardzo szybko, jego angielski okazywał się jeszcze zbyt słaby, aby wyrazić dokładnie to, co miał na myśli.

Arletta czuła, że chłopiec ją polubił i chętnie spędza z nią czas. Tego dnia zapomniał o ukradkowym oglądaniu się przez ramię, ani nie opowiadał też przerażających historii o swoim wujku.

Nie było wezwań od księżnej i gdy Dawid poszedł spać, Arletta pomyślała z radością, że ma przed snem godzinę lub dwie tylko dla siebie. Przebrała się w piękną koszulę nocną swej matki, która leżała przygotowana na łóżku. Dopiero wtedy przypomniała sobie, że w pokoju nie ma żadnej książki. Zapomniała przynieść coś do czytania z biblioteki, choć myślała o tym wcześniej. Tak się cieszyła z wolnego wieczoru, a tu takie rozczarowanie! Ale czy powinna zrezygnować z przyjemności? Przecież zamek o tak późnej porze właściwie stał przed nią otworem. Udała się w stronę głównej części budynku, gdzie mieściły się salony. Wiedziała, że cała służba, oprócz lokaja pełniącego dyżur w holu, przeniosła się do nowszej części zamku, w której mieściły się ich sypialnie oraz kuchnie.

- Oni lubią tam być - wyjaśnił kiedyś Dawid - bo w tamtej części zamku nie ma duchów.

- W tej również nie spotkałam żadnego - uśmiechnęła się Arletta.

- Według mnie - ciągnął - duchy ukazują się tylko tym ludziom, których nie lubią i których chcą przestraszyć.

- Doceniam w takim razie, że zostawiły w spokoju moją skromną osobę - zaśmiała się Arletta.

Włożyła na siebie piękny niebieski szlafrok, także należący do matki, otworzyła ostrożnie drzwi i krętymi schodkami zeszła na dół. Miękkie pantofle nie robiły żadnego hałasu, choć i tak nikt by go nie usłyszał. Wędrując długimi korytarzami pomyślała, że zarówno dzieci, jak i dorośli, gdy nie mają żadnych rozrywek używają wyobraźni. Stąd duchy i strachy w zamku.

Słońce skryło się już za horyzontem, ale niebo pozostało purpurowozłote, kiedy Arletta wchodziła do najładniejszego według niej salonu.

To była sala balowa. Na środku, na słynnych, kolorowych dywanach z Aubusson, stały wytworne sofy i wspaniałe krzesła w stylu Ludwika XIV. Ściany ozdabiały stare gobeliny o różowym odcieniu, które odbijały się w długich lustrach z połączanymi ramami, zawieszonych między oknami, i wydawało się, że ich barwy łączą się z kolorami nieba.

Ten niepowszedni widok aż kusił do fantazjowania. Arletta wyobraziła sobie, że jest księżniczką i dwa wieki temu zwiedza zamek w towarzystwie ówczesnego księcia. W rogu pokoju zobaczyła biały fortepian, a na nim porcelanę z Sevres. Zapragnęła usłyszeć muzykę, więc usiadła do fortepianu zagrać walca Straussa. Melodia pogłębiła nastrój bajkowości, wtapiając w atmosferę komnaty nagle światło padające z okien. Tymczasem ostatnie promienie słońca skryły się za

horyzontem i Arlette otoczył mistyczny półmrok. Wtedy przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

Gdy tylko weszła do sali, zauważyła w rogu długi kij z ostrym końcem służący do zapalania świeczek w żyrandolu. Poniżej wisiał do ich gaszenia kaptur z mosiądzu. Arletta widziała, jak używano tych przedmiotów w jej własnym domu.

Na fortepianie zobaczyła mały kandelabr, a obok pudełko zapalek. Nie widziała powodu, dla którego miałyby zrezygnować z przyjemnej zabawy. Najpierw zapaliła świeczki w kandelabrze, a potem w żyrandolu wiszącym pośrodku sufitu. Dosięgała jedynie świeczek na najniższym poziomie, ale udało się zapalić ich prawie tuzin. Pokój natychmiast się ożywił. Oczami wyobraźni widziała wytworne damy w wysokich perukach i rozłożystych sukniach z turniurami. Nie zabrakło także upudrowanych dżentelmenów z włosami związanymi na karku. Mieli na sobie ozdobnie haftowane surduty, a wspaniałe koronki zdobiące mankiety opadały im na dłonie. Znowu usiadła przy fortepianie, aby uzupełnić wizję czarowną muzyką, i na środku sali balowej wszyscy goście zatańczyli menueta.

Wtedy przyszła pora na nią. Ujrzała siebie, ale już w następnym wieku, w obszernej krynolinie i tylko muzyka Straussa pozostała taka sama. Jej palce mknęły po klawiaturze do momentu, gdy postanowiła dać upust swej następnej fantazji. Wstała od fortepianu i zaczęła wirować po wyfroterowanej podłodze. Wąski szlafrok krępował ruchy, więc odrzuciła go na krzesło. Teraz miała na sobie jedynie koszulę nocną z cienkiego, przezroczystego batystu ozdobioną wstawkami w gęstych rzędach i lamówką z przyszarzałej koronki, którą wykończony był też głęboki dekolt.

Wirowała w takt nuconej przez siebie melodii. Rozpuszczone włosy i niebieskie oczy czyniły z niej

prawdziwą księżniczkę z bajki. Utożsamiła się z własną fantazją do tego stopnia, że nawet widziała u swego boku bardzo przystojnego dżentelmena, wysokiego, z ciemnymi włosami, dokładnie takiego, o jakim zawsze marzyła. Roztańczona, z gracją poruszając rękami, otworzyła nagle oczy i... zobaczyła go naprawdę stojącego w drzwiach sali balowej.

Jednak zamiast przyglądać się jej z podziwem lub miłością, ten patrzył na nią z niedowierzaniem i złością na twarzy. Zamarła w bezruchu. Patrzyła osłupiała na mężczyznę, który naprawdę stał w drzwiach i nie był wymysłem jej fantazji. Nie musiała pytać, kim jest. Przed nią stał sam książę.

Rozdział 4

Przerażona zastygła w bezruchu. Przy pierwszym spotkaniu zaprezentowała się swemu pracodawcy w nocnej koszuli, z rozpuszczonymi włosami miękko opadającymi na ramiona. Co za upokorzenie!

Książę patrzył na nią, jakby nie dowierzał własnym oczom. Wyglądał zupełnie inaczej niż go sobie wyobrażała. Na skutek opowieści zasłyszanych od różnych ludzi spodziewała się postaci groźnej, złowieszczej, nawet lekko przygarbionej, jak ów niegodziwy książę Gloucesteru, który zamordował dwa małe książęta w wieży Tower.

Zobaczyła niezwykle przystojnego ciemnowłosego mężczyznę o wyrazistych rysach twarzy i świeżej cerze. Przerażeniem mógł napawać jedynie wyraz głęboko osadzonych oczu z lekko opadającymi powiekami. Zauważyła dwie zmarszczki biegnące od nosa do kącików ust, które teraz ostrzej zarysowane, wyraźnie zwiastowały coś złego.

- Kim pani jest i jak się nazywa? - zapytał donośnym głosem.

- Arletta... Jane Turner!

Przerażona, niespodziewanym pojawieniem się księcia, przez moment zapomniała roli, jaką grała w zamku i mimowolnie wypowiedziała własne imię. Z wielkim trudem sięgnęła po szlafrok i włożyła go na siebie.

- Chce pani powiedzieć, że jest pani angielską guwernantką, którą przysłała lady Langley? - zapytał książę.

- Tak... właśnie tak - przytaknęła Arletta. - Bardzo przepraszam... nikt nie spodziewał się, że Wasza Książęca Mość wróci dzisiaj... - jąkała się zmieszana.

Książę wciąż patrzył na nią spod lekko opadających powiek, co ją bardzo onieśmielało. W szlafroku poczuła się trochę pewniej i oddech powoli wracał do normy.

- Mogę tylko... przeprosić Waszą Księżęcą Mość. Dałam się ponieść fantazji w tym przepięknym domu i wróciłam myślami do przeszłości.

- Czy zapaliła pani żyrandol i zdjęła z siebie ubranie, aby iluzję uczynić bardziej realną? - zapytał, jakby to, co zrobiła, było obrazą moralności, jeśli nie zbrodnią.

Arletta zaczerwieniła się.

- Nie mam... nic na swoje... usprawiedliwienie... - wyjąkała. - Proszę tylko Waszą Księżęcą Mość, aby zechciał przyjąć ode mnie obietnicę, że coś takiego nie zdarzy się nigdy więcej.

- Czy pani naprawdę jest angielską guwernantką, na którą czekałem? - zapytał po chwili.

- T - tak - odparła niepewnym głosem. Kłamstwo nie zabrzmiało przekonująco. Świadoma tego, z wysiłkiem podeszła do fortepianu i zamknęła wieko. Księżę nie spuszczał z niej oczu. Czy uzna, że nie jest dość kompetentna? Zrozpaczona wyrzucała sobie w myślach własną nieostrożność.

- Czy mam zgasić świeczki? - zapytała niepewnie, kiedy podszedł do niej.

- Służący to robi. A jutro, panno Turner, gdy włoży pani bardziej stosowne ubranie, będę chciał z panią porozmawiać.

- Dobrze, Wasza Księżęcą Mość.

Dygnęła lekko i nie oglądając się za siebie, wyszła z sali balowej na korytarz. Poruszała się powoli, mając nadzieję, że z godnością, do momentu, gdy nerwy odmówiły posłuszeństwa i zaczęła biec korytarzami do znajomej klatki schodowej. Gdy wreszcie znalazła się w swoim pokoju była zmęczona, przerażona i zdenerwowana, jak po walce z potworem z koszmarnych snów.

- Skąd mogłam wiedzieć - rozmyślała - że księżę przyjedzie bez uprzedzenia?

Tej nocy długo jeszcze nie mogła zasnąć, a rano obudziła się w nie lepszym nastroju. Bała się, że książę uzna ją za nieodpowiedzialną i natychmiast odeśle do Anglii. Scena, którą w nocy zastał w sali balowej, na pewno spotęgowała jego uprzedzenie do Anglików.

Wkładając suknię modliła się żarliwie, aby nie kazał jej wyjeżdżać. Jeśli tak się stanie, nigdy nie będzie miała okazji rozwiązać zagadek tego tajemniczego zamku. Żeby ratować swą nadszarpniętą reputację, postanowiła ubrać się stosownie do wyglądu godnej szacunku angielskiej guwernantki. Ściągnęła włosy do tyłu, używając co najmniej z tuzin szpilek do ich przytrzymania. Żałowała, że nie uczyniła podobnie ostatniego wieczoru! Cóż można sobie pomyśleć o kobiecie w nocnej koszuli, tańczącej w bardzo swobodny sposób? Takiego zachowania, zwłaszcza w przypadku guwernantki, nie można było usprawiedliwić.

- Jak mogłam zachować się tak nieskromnie? - rozmyślała, patrząc na swoje odbicie w lustrze.

W przyływie buntu winą za niecodzienną sytuację obarczyła samego księcia. Dlaczego nie zawiadomił nikogo o swym przyjeździe, tylko ukradkiem wtargnął do własnego zamku? Dzieci ubrane i gotowe do śniadania potwierdziły jej przypuszczenia - nikt nie był przygotowany na jego przyjazd.

- Czy słyszała pani, że wujek Etienne przyjechał do domu? - zwróciły się do niej.

- Kiedy? - zapytała wymijająco.

- Gdy spaliśmy - odpowiedział Dawid.

- Teraz na pewno wszystko popsuje - narzekła Paulina. - Będzie się denerwował, a mnie od tego boli brzusek.

Dziewczynka dotknęła rączką brzuszka, a Arletta rozumiała ją aż nazbyt dobrze, bo czuła się prawie tak samo. Ubrana w surową i, jej zdaniem, bardzo nieatrakcyjną suknię

poszła razem z dziećmi do pokoju, w którym jadano śniadania. Był pusty.

- Gdzie jest wujek Etienne? - zapytał Dawid jednego ze służących, którzy na nich czekali.

- Jego Książęca Mość zjadł już śniadanie - odpowiedział służący.

- Świetnie - stwierdził Dawid bez namysłu.

Usiadł i z apetytem zaczął zajadać gorące rogaliki posmarowane żółciutkim masłem domowej roboty i miodem z uli, należących do tutejszej posiadłości. Uważała, że dzieci na śniadanie powinny dostawać jajka, lub inne bardziej wartościowe potrawy, zamiast tak dużej ilości najsmaczniejszego nawet chleba.

Bała się jednak cokolwiek proponować, aby nie usłyszeć, że angielskie zwyczaje nie są tolerowane w zamku i nie spotykają się z aprobatą księcia.

Tego ranka ze strachu nie była w stanie niczego przełknąć. Gdy tylko dzieci skończyły śniadanie, a ona miała udać się na lekcję z Dawidem, nadszedł służący.

- Jego Książęca Mość chce panią widzieć w swoim gabinecie!

To był rozkaz! Poczowała się jak skazaniec, którego za chwilę postawią przed gilotyną. Gabinet księcia znajdował się obok biblioteki i należał do pokoi, których jeszcze nie widziała. Kiedy podczas zwiedzania zamku przechodzili obok, dzieci ostrzegały: „To pokój wujka Etienne!” i uciekały, bojąc się, że sam książę zaraz stanie przed nimi.

Lokaj otworzył drzwi gabinetu i weszła do środka. Książę stał przy oknie. Wysmukły, w ubraniu leżącym na nim, jakby je zrobiono w Savile Row. Przypomniała sobie słowa ojca: „Elegancy dżentelmeni z Francji każą sobie robić ubrania w Savile Row, podczas gdy wytworne Angielki jeżdżą po suknie

do Paryża!" Jakże ksiązę by się złościł, gdyby wiedział, o czym Arletta myśli w tej chwili!

Stała przy drzwiach, a on rozmyślnie zwlekał z rozmową. Lokaj zdążył zamknąć za sobą drzwi, a on wciąż stał odwrócony tyłem, chcąc w ten sposób umocnić swój autorytet, a ją samą upokorzyć.

Zupełnie niespodziewanie Arletta przestała się bać. Odezwała się w niej rodowa duma Weirów odziedziczona po przodkach, która podpowiedziała, że nie ma powodu, aby ktoś ją obrażał, nawet jeśli jest księciem!

- Wasza Książęca Mość chciał mnie widzieć? - zapytała dźwięcznym, opanowanym głosem.

Odwrócił się zdziwiony zuchwałością Arletty, która pozwoliła jej na rozpoczęcie rozmowy. Patrzył przenikliwie, z trudem wierząc, że jest tą, za kogo się podaje, i doszukiwał się dowodów oszustwa. Dumnie wyprostowana, przeszła powoli na środek pokoju. Ksiązę także się zbliżył i stanęli naprzeciw siebie. Arletta dygnęła lekko z wdziękiem.

- Właśnie miałam zacząć lekcję z Dawidem, którą mamy zaraz po śniadaniu do południa.

- Lekcję angielskiego! - powiedział jak gdyby była to rzecz godna potępienia.

- Właśnie po to przyjechałam do zamku.

- Wiem - odpowiedział - ale zeszłej nocy czuła się pani raczej jak w swoim własnym domu!

Tak wyraźnego oskarżenia nie chciała zostawić bez odpowiedzi.

- Nie uważam, aby to było stosowne określenie, Wasza Książęca Mość - odparła. - Kiedy znalazłam się w pięknym pokoju bawialnym, przeniosłam się myślami do czasów Ludwika XIV.

Nie chciała okazać strachu, lecz głos jej drżał, a w oczach widać było przerażenie. Książę stanął przy wspaniałym marmurowym kominku.

- Może pani usiąść, panno Turner - powiedział oschle.

- Dziękuję.

Arletta usiadła na najbliższym krześle, którego obicie było doskonałym przykładem osiemnastowiecznego petit point. Dała ukojenie drżącym ze strachu nogom. Pocieszała ją myśl, że każda kobieta na jej miejscu byłaby przerażona.

- A teraz, panno Turner - odezwał się książę - czekam na wyjaśnienie. Dlaczego historia zamku i moich przodków skłoniła panią do fantazjowania, co przecież nie zdarza się przeciętnym Angielkom?

Drwiące słowa przeszywały ją jak ostry nóż. Książę wymierzał jej psychiczną chłostę za niestosowne zachowanie.

- Nawet Anglicy - odparła - mają wyobraźnię. A pański piękny zamek potrafi ją wyjątkowo pobudzić.

- I nie boi się pani zamku ani jego mieszkańców? - zapytał.

- Jeśli chodzi o odpowiedź na pierwszą część pytania, odpowiadam - nie, jeśli natomiast chodzi o drugą - nie jestem... pewna.

Odniosła wrażenie, że jej odpowiedź rozbawiła księcia.

- Lady Langley dała wyczerpujące referencje zarówno jeśli chodzi o pani charakter jak i zachowanie. Czy uważa pani, że odpowiadają temu, co zastałem wczoraj wieczorem w sali balowej?

- Już przeprosiłam Waszą Książęcą Mość - odpowiedziała chłodno Arletta. - Z powodu późnej pory, nie spodziewałam się, że w tej wyludnionej części zamku ktokolwiek mnie zobaczy.

Książę milczał.

- Zeszłam z wieży po książkę do biblioteki. Zamierzałam tylko przez chwilę zakosztować atmosfery sali balowej i zagrać na fortepianie. Jeśli zaś chodzi o taniec - nie zamierzałam tańczyć - to było zupełnie spontaniczne.

- Innymi słowy przytrafiają się pani dziwne rzeczy, panno Turner - powiedział książe - a przyznała pani, że wtedy daje się ponieść swoim imaginacjom. Cóż, uważam, że jest to trochę niebezpieczna cecha u guwernantki!

Arletta wyczuła szyderstwo.

- Moim zdaniem, Wasza Książęca Mość, bogata wyobraźnia jest pożądana u każdej guwernantki. Dopiero wtedy za pomocą słów potrafi wykreować psychiczny wizerunek swoich uczniów.

- A pani właśnie to robi?

- Próbuję - powiedziała. - Dzieci łatwo poddają się wyobraźni. Jeśli rozwijają się prawidłowo, zazwyczaj lubią fantazjować, co potem mija wraz z wiekiem. Dodała w myślach, że książe także posługuje się wyobraźnią, jako bronią, którą zastrasza Dawida i Paulinę, podpowiadając im to, co zastaną w Anglii.

- Rozumiem, co pani ma na myśli - zauważył - ale odnoszę wrażenie, że teraz pani mnie krytykuje.

Nie sądziła, że jest aż tak bystry.

- Nie ośmieliłabym się, Wasza Książęca Mość. Wszyscy wiemy, że Dawid jest bardzo spostrzegawczym chłopcem o niezwykle bujnej wyobraźni. Być może po części wynika to z mieszkania w tym zamku, a po części z tego, że jest sierotą i nauczył się polegać na samym sobie. - Jej słowa wyraźnie zadziwiły księcia. - Wyobraźnia jest wspaniałym darem - mówiła dalej - może ludziom pomagać, inspirować ich, doradzać, ale z drugiej strony może okazać się niebezpieczna, kiedy na przykład wywołuje w nich strach czy przerażenie.

Książę patrzył na nią uważnie.

- Ponownie czuję się krytykowany, panno Turner, pani słowa mają podwójne znaczenie.

- Jeśli Wasza Księżęca Mość tak uważa, mogę tylko ponownie przeprosić - odpowiedziała Arletta. - Chodzi mi przede wszystkim o Dawida i o jego reakcje na moje nauki oraz na wszystko, co tu... słyszy.

Nagle się przeraziła, że powiedziała zbyt wiele, a księżę uzna to za niegrzeczność i każe jej opuścić zamek.

- Aż trudno uwierzyć, panno Turner - powiedział tymczasem księżę - mając na względzie pani młody wygląd, że posiada pani tak ogromne doświadczenie w nauczaniu. Co więcej, pani słowa świadczą o znajomości psychologii i innych rzeczy, które nie znajdują się w przeciętnym programie nauczania.

- To prawdziwy zaszczyt usłyszeć taką opinię z pańskich ust.

- Po rozmowie z panią - odezwał się księżę po chwili - mam wrażenie, że mogę pozostawić edukację Dawida w pani rękach. Na koniec chciałbym tylko dodać, że gdy pójdzie do szkoły w pani kraju, będzie potrzebował więcej zdrowego rozsądku niż bajkowych fantazji.

- Zgadzam się z Waszą Księżęcą Mością. Moim zdaniem, właśnie dlatego Dawid i Paulina powinni mieć towarzystwo rówieśników.

- Dlaczego? - zapytał gwałtownie.

- Dlatego, że gdy małe dzieci przebywają tylko w otoczeniu dorosłych, zaczynają myśleć ich kategoriami, a poza tym dają upust różnym fantazjom, o których pan wyraża się tak niepoehlebie.

Oczy księcia błysnęły groźnie.

- Francuskie dzieci bardzo się cieszą, kiedy mogą być z rodziną - odpowiedział dobitnie.

- Oczywiście - zgodziła się Arletta - ale ich rodziny są zwykle większe niż Dawida i Pauliny. Gdyby mieszkali tu dzieci pana lub hrabiego Jacquesa, Dawid miałby braci do wspólnych zabaw.

- Nie powinienem odrywać pani od lekcji - przerwał jej gwałtownie książę. - Mam nadzieję, że Dawid będzie miał z nich jakąś korzyść.

Arletta podniosła się.

- Ja też mam taką nadzieję, Wasza Książęca Mość. Bardzo bym chciała, żeby cieszył się z wyjazdu do Eton, i był tam szczęśliwy jak niegdyś jego ojciec. - Miała wrażenie, że widzi pogardę na twarzy księcia. - Dla większości chłopców pobyt w Eton, gdy poznają nowych przyjaciół, ucza się i bawią, ma wpływ na całe ich przyszłe życie. Jestem przekonana, że ta szkoła spodoba się Dawidowi i znajdzie tam towarzystwo, którego pilnie potrzebuje, jeśli nawet nie zdaje sobie z tego sprawy!

Nie czekała na odpowiedź. Dygnęła i skierowała się w stronę drzwi.

- Proszę przekazać Dawidowi, że po lunchu może pojechać ze mną na konną przejażdżkę - usłyszała.

- Powiem mu o tym, Wasza Książęca Mość. Arletta wyszła z pokoju i odetchnęła głęboko. Po tym swoistym pojedynku na słowa czuła się zupełnie wyczerpana. Mimo strachu słowa same cisnęły się na usta. I zadziwiła tym nie tylko siebie, lecz, jak się wydawało, również samego księcia.

- Dlaczego nie byłam dość odważna, żeby poprosić go o zaprzestanie zatruwania psychiki chłopca przez obrzydzanie mu przyszłej szkoły i narodu, z którego pochodzi? - Ale i tak nie wypadła źle, jak na pierwszy raz. Najważniejsze, że książę pozwolił jej zostać, więc być może nadarzy się jeszcze okazja do powiedzenia mu o tym.

Dawid na jej widok krzyknął z zachwytu i wskoczył na stół z żołnierzami.

- Wszystko w porządku? - zapytał ją. - Czy wujek Etienne był dla pani dobry?

- Jestem cała i zdrowa - odrzekła Arletta. - A teraz przejdźmy wreszcie do lekcji. Powinieneś napisać wypracowanie, które ci wczoraj zadałam, zamiast bawić się żołnierzami.

- Bardzo się martwiłem, że wujek Etienne panią odeśle.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Ponieważ pani jest Angielką, i dlatego, że ostatniej nocy grała pani na fortepianie w sali balowej.

- S - skąd o tym wiesz? - wyjąkała zmieszana.

- Od osobistego lokaja wujka. Słyszałem, jak opowiadał komuś ze służby, że gdy szli do sypialni usłyszeli muzykę i wtedy wujek poszedł sprawdzić, skąd dochodzi. Nie bała się pani chodzić po zamku w środku nocy?

- To nie był środek nocy, bo dopiero co poszliście spać - odpowiedziała Arletta. - Mówiłam ci już, że nie boję się duchów, one istnieją jedynie w wyobraźni głupców. Nie miałam pojęcia, że twój wujek przyjedzie tej nocy i że ktokolwiek usłyszy jak gram.

- Gdyby tylko mnie pani poprosiła, także bym tam poszedł.

- To bardzo miło z twojej strony - uśmiechnęła się Arletta - ale nie zdarzyło się tam nic nadzwyczajnego. Oczarowana pięknem sali bawialnej usiadłam do fortepianu i zagrałam walca Straussa, to wszystko.

Chciała wyjaśnić dziecku, co naprawdę się stało, lecz teraz, gdy wszystko się wydało, różne opowieści będą krążyć po zamku.

- Pani jest bardzo odważna - powiedział Dawid. - Na pewno nikt ze służby nie ośmieliłby się pójść samotnie do

bawialni. - Przerwał na chwilę, po czym zapytał z ożywieniem: - W jaki sposób zdołała pani zapalić świece w żyrandolu?

A więc miała rację, o tym, co się wczoraj wydarzyło, plotkował już cały zamek, od księżnej poczynając, a na pomywaczce kończąc.

- Później ci wszystko opowiem - rzekła stanowczo. - Teraz musimy wreszcie przejść do lekcji.

- To znaczy, że wujek nie zabronił pani nas uczyć?

- Nie, oczywiście, że nie - odpowiedziała Arletta. - Wiedział, po co tu jestem. A swoją drogą powiem ci, że robisz z niego potwora tylko dlatego, że nie masz innego tematu do rozmowy.

- Wszyscy o nim mówią, bo się go boją - odrzekł chłopiec - i każdy wie, że zabił swoją żonę!

- Gdyby to była prawda, zostałby ścięty na gilotynie - odpowiedziała ostro.

- A jednak ktoś ją zepchnął pomiędzy blankami - powiedział cicho Dawid. - I nie było tam nikogo oprócz wujka. Wszyscy wiedzą, że oni nienawidzili się i wciąż kłócili.

Arletta uderzyła ręką w blat stołu.

- Nie mam zamiaru słuchać tych plotek! - powiedziała. - Są wstrętne i mają na ciebie katastrofalny wpływ, a jeśli o mnie chodzi - nie wierzę w ani w jedno słowo!

Dawid wzruszył ramionami.

- To pani sprawa - powiedział. - Wszyscy w zamku wierzą. Kiedy tuż przed ich ślubem umarła hrabina, wszyscy mówili, że ją zabił, bo już nie chciał się z nią zenić.

Arletta westchnęła.

- Jeśli masz zamiar dłużej opowiadać takie okropne bzdury, które nie mają nic wspólnego z prawdą, będziemy

rozmawiać po francusku i w ogóle odmówię uczenia cię angielskiego.

- To niesprawiedliwe - bronił się Dawid.

- Raczej ty jesteś niesprawiedliwy - odpowiedziała Arletta. - W Anglii człowiek jest niewinny, dopóki sąd nie dowiedzie mu winy. Być może inaczej jest we Francji. Jednak w każdym innym cywilizowanym kraju, gdyby twój wujek popełnił te wszystkie zbrodnie, zostałby osądzony i ścięty na gilotynie lub powieszony.

- Zdołał ujść sprawiedliwości, bo jest inteligentny - nie poddawał się chłopiec.

- Jeśli tak... to życzę mu powodzenia - powiedziała Arletta. - Osobiście uważam, że cała ta sprawa to stek łągarstw wymyślonych przez plotkujące kobiety, które nie mają nic ciekawszego do roboty!

Mówiła ze złością. Była do głębi poruszona postawą Dawida, który niemal z satysfakcją powtarzał takie nikczemne pogłoski.

- Słuchaj, Dawidzie - po chwili postanowiła zmienić taktykę - to wszystko wydarzyło się bardzo dawno temu, a ponieważ jesteś niezwykle inteligentnym chłopcem nie powinieneś wierzyć zwykłemu domysłom, morderstwo powinno się udowodnić!

- Jak to się robi? - zapytał zaintrygowany Dawid.

- Nie wiem - ale, jak powiedziałam, w Anglii człowiek jest niewinny, dopóki nie dowiedzie się jego winy. Jeśli jeszcze kiedyś usłyszysz jakieś oszczerstwa dotyczące twojego wujka, radzę, abyś zażądał dowodów jego winy. Tylko tak zachowałby się dżentelmen i tylko taka reakcja jest słuszna!

- Ma pani rację - powiedział Dawid po chwili. - Nikt nie widział kto zepchnął ciotkę Teresę między blankami, nie

wiadomo, czy krzyczała o pomoc czy może popełniła samobójstwo.

- To już o wiele bardziej rozsądna postawa - pochwaliła Arletta.

- Hrabina Madeleine Monsarrat była bardzo piękna - ciągnął Dawid - ale umarła na skutek przedawkowania laudanum. Ludzie mówią, że wujek Etien wlał jej tego do kawy.

- Sama mogła to zrobić - zasugerowała Arletta.

- Ale ludzie mówią, że nie chciała umierać - była szczęśliwa, że zostanie jego żoną.

- Ludzie mówią! Ludzie mówią! - powtarzała rozdrażniona. - Mówią wszystko, aby tylko stworzyć niezwykłą opowieść. Nie powinieneś wierzyć w takie rzeczy. Czy znajdzie się świadek, który widział, jak twój wujek wlewał laudanum do kawy, albo inny, który udowodni, że kupił je specjalnie w tym celu?

- Wiem, co pani chce przez to powiedzieć. Mężczyźni nie kupują laudanum, o to chodzi? - zapytał Dawid.

- Jest to narkotyk, który zażywają niektóre niemądre kobiety, gdy cierpią na bezsenność. Mężczyźni zażywają laudanum przeważnie na zlecenie lekarza, żeby uśmierzyć ból, gdy na przykład są ranni. Mój ojciec bardzo cierpiał, ale gdy lekarz zaproponował laudanum, powiedział, że nie jest kobietą i nie będzie się otumaniał.

Arletta wolałaby co prawda, aby ojciec zażywał środki znieczulające, wtedy przynajmniej przez jakiś czas byłaby wolna od jego przekleństw i ciągłego narzekania. Popatrzyła na Dawida, który wyraźnie zastanawiał się nad tym, co powiedziała.

- Czy możemy już zapomnieć o twoim wujku i skupić się na przyszłości? - zapytała. - Każda chwila jest droga, a my tracimy czas.

Dawid usiadł przy stole i przysunął do siebie książkę.

- Czy mam tłumaczyć to, co czytaliśmy wczoraj? - zapytał.

- Zamieniam się w słuch - uśmiechnęła się z zadowoleniem.

Arletta ucieszyła się z obecności hrabiego Jacquesa na lunchu. Miała nadzieję, że książę skupi całą uwagę na rozmowie z nim. I nie myliła się - natychmiast zaczęli ze sobą dyskutować o majątku, koniach i polityce - lecz czuła na sobie wzrok hrabiego i trochę się bała. Nie chciała, aby książę posądził ją o sprzyjanie zalotom hrabiego. Nie zapomniała też stwierdzenia księżnej, jakoby hrabia wolał pozbyć się jej z zamku.

Nie chcąc wzbudzić jakichkolwiek podejrzeń, rozmawiała tylko z dziećmi, przy czym mówiła niewiele, żeby nie posądzono jej o chęć zwrócenia na siebie uwagi. Gdybym w ogóle się nie odzywała, uznaliby mnie za nudną - pomyślała i doszła do wniosku, że pozycja guwernantki jest niezwykle uciążliwa. Nigdy nie uda się wszystkich zadowolić.

Po doskonałym lunchu książę i Dawid udali się na konną przejażdżkę. Arletta z ciężkim sercem patrzyła jak odjeżdżali. Teraz książę może zabronić jej dosiadać konia albo sam będzie towarzyszyć Dawidowi. Wtedy ona stanie się zbędna. Nie wiedziała co postanowi, ale musiała przyznać, że miał wielki autorytet. Był jak wspaniały i dumny król, spokojem zmuszający do posłuszeństwa.

Nienawidzę go, pomyślała, ale to nie była prawda. Intrygował ją i jednocześnie fascynował ten niesłychanie zagadkowy człowiek.

Strapiona udała się do sali lekcyjnej. Nawet nie zdziwił jej widok hrabiego, który tam na nią czekał. Paulina została z nianią i miała odpoczywać przez godzinę przed wyjściem do ogrodu.

Hrabia patrzył z uśmiechem. Postanowiła być czujna.

- Mam nadzieję - powiedziała - że nie potrzebuje pan mojej pomocy, bo mam do napisania kilka bardzo pilnych listów.

- Oczywiście, że jej potrzebuję - odpowiedział hrabia. - Tęskniłem za panią od wczoraj i mam nadzieję, że pani także za mną tęskniła.

- Miałam bardzo dużo pracy - odpowiedziała Arletta.

- Nigdy nie uwierzę, że paplanina dwójki dzieciaków może zadowolić osobę tak inteligentną jak pani. Poza tym mam pani wiele do powiedzenia.

- To prawdziwy pech - powiedziała Arletta - bo muszę napisać listy, które powinny odejść wieczorną pocztą.

- Nie zabiorę pani dużo czasu - uprzedził hrabia. - Proszę usiąść, panno Turner, bo to, co mam do powiedzenia, jest niezwykle ważne.

Obawiając się, że dalsze odmowy zostałyby odebrane jako nieuprzejmość z jej strony, niechętnie usiadła na krześle, hrabia tuż obok niej.

- Pani jest bardzo piękna - zaczął. - Nie potrafię pojąć dlaczego, będąc również niezwykle inteligentna, traci pani czas na zajęcia tak przyziemne i nieciekawe jak uczenie dzieci.

- Jest to bardzo interesująca praca - odpowiedziała Arletta - a kłopoty częściej sprawiają dorośli aniżeli dzieci.

Hrabia zaśmiał się.

- Jest pani bardzo szczerą, panno Turner, jak wszyscy Anglicy. Wiem też, że Angielki nie lubią słuchać komplementów, ale przecież nie mogę milczeć, gdy mam przed sobą tak piękną i pociągającą istotę.

- Jeśli to już wszystko co miał mi pan do powiedzenia, hrabio - odezwała się Arletta - to pójdę do siebie i zabiorę do pisania listów.

- Proszę zaczekać - zatrzymał ją hrabia - mam dla pani pewną propozycję.

- Propozycję?

- Powinna pani wyjechać ze mną do Paryża. To niezwykle miasto, w którym można się świetnie bawić.

Arletta popatrzyła mu prosto w oczy.

- Mam nadzieję, hrabio - powiedziała opanowanym głosem - że nie zamierza pan mnie obrazić!

- Ja tylko chcę dać pani szczęście: piękne stroje, błyszczące klejnoty, których blask i tak nie jest w stanie dorównać pięknu pani oczu.

- Pan mnie obraża! - odpowiedziała wstając. - Będzie pani prawdziwą sensacją w Paryżu! Każdy mężczyzna, który panią zobaczy, padnie do jej stóp!

- Cóż to znaczy? - zapytała Arletta.

- Oznacza to sławę, bogactwo i pozycję, za którą szaleją kobiety!

- Wobec tego proszę zwrócić się do nich z tą propozycją. Jeśli zaś o mnie chodzi, nie przyjąłabym jej, gdybym nawet miała umrzeć z głodu!

- Jeśli jest mało atrakcyjna - nie poddawał się hrabia - dodam, że ja sam jestem zafascynowany pani osobą, pragnę panią pieścić, tulić i uszczęśliwiać.

Przysunął się bliżej.

- Ale ja tego nie chcę! - odpowiedziała. - Może zdziwi pana moja decyzja, ale wolę zostać guwernantką aniżeli pańską kochanką! - Wyciągnął ręce, lecz uniknęła jego objęć zastawiając się krzesłem. Szybko odeszła do drzwi. - Odpowiedź jest pewna i ostateczna: „Nie!” - powtórzyła jeszcze stojąc przy wyjściu.

Nie zwlekając pchnęła mocno drzwi i pobiegła na górę. Zamknęła się w swoim pokoju na wypadek, gdyby hrabia ją gonił. Dlaczego proponował jej wyjazd do Paryża? Na pewno

nie dlatego, że ją pokochał! Podobnie jak Dawid wyczuwała w tym człowieku fałsz i gotowa była przysiąc, że nie podoba mu się tak bardzo, jak ją o tym zapewniał. A jednak był gotów wydać na nią mnóstwo pieniędzy. Dlaczego?

Długo o tym rozmyślała, stojąc przy oknie z widokiem na piękne pola i lasy. Tuż pod oknem płynęła rzeka. Kiedyś była naturalną przeszkodą dla wrogów. A teraz wróg niszczył zamek od wewnątrz. Czy książę wie, jak dziwnie zachowują się jego krewni? Czy zdaje sobie sprawę, co mówią o nim mieszkańcy zamku?

Bała się, lecz jednocześnie... wciąż myślała o księciu. Przypominała sobie, jak wyglądał podczas lunchu, gdy siedział na krześle z rodzinnym herbem, zajmując honorowe miejsce przy stole. Miał w sobie wiele powagi i dostojeństwa, jak władca, który zawsze zwycięsko wraca z pola bitwy. Czy poradzi sobie również z plotkami?

Arletta czuła, że oskarżenia nie były prawdziwe. Ludzie nienawidzili go, bo czuli się przy nim mali i nieważni. Taka już jest ludzka natura. Ale morderstwo to zupełnie inna sprawa. Nie umiała wyobrazić sobie księcia w trakcie przygotowań do zbrodni i potem, gdy starannie zaciera ślady, udając, że jest niewinny. Człowiek taki jak on, nigdy nie zachowałby się podle.

Musi być jakieś inne rozwiązanie tej zagadki, pomyślała i zapragnęła nagle porozmawiać na ten temat z kimś innym niż Dawid. Wciąż jeszcze była bardzo zdenerwowana, nie tylko z powodu księcia, lecz także propozycji hrabiego. Nie zastanawiając się wiele, postanowiła pójść do kościoła stojącego poza murami zamku.

Włożyła kapelusz chroniący ją od słońca, i ukradkiem zeszła na dół. Miała nadzieję, że hrabia wyszedł już z sali lekcyjnej. Przez uchylone drzwi zobaczyła puste pomieszczenie. Z westchnieniem ulgi poszła korytarzem do

bocznych, nie strzeżonych drzwi, wyszła na zewnątrz, i szybko, aby nie zauważył jej hrabia, pobiegła w stronę wrót zamkowych.

Od zamku do kościoła było nieco mniej niż pięćdziesiąt jardów. Kiedy weszła do środka, przekonała się, że był bardzo stary, ale też niezwykle piękny. Okrągłe kolumny i bardzo grube mury podtrzymywały łukowate sklepienie. Niewielka nawa wskazywała na niezbyt dużą liczbę wiernych.

Arletta zwróciła uwagę na podniosły nastrój tego wnętrza. Z prastarych murów emanowała atmosfera świętości i wiary.

Uklękła przed ołtarzem. Małe okna nie przepuszczały zbyt wiele światła, ale w ołtarzu migotało kilka świec zapalonych przy świętej figurze. Żaden hałas nie zakłócał ciszy i spokoju.

Prosiła Boga, aby dodał jej sił. Pragnęła nie tylko pomóc dzieciom, ale także oczyścić zamek z siejących postrach plotek, żeby zagościły w nim miłość i piękno. Wstała z kolan. Przyszło jej do głowy, że powinna zapalić świecę podobnie jak katolicy, którzy wierzą, że ogień pomaga ich modlitwom dotrzeć do Boga.

W kieszeni sukni znalazła szylinga. Włożyła monetę do małego metalowego pudełka i sięgnęła po jedną ze świec, które stały u stóp figury.

- Proszę, wysłuchaj moich próśb - szepnęła i zapaliła świecę.

Dopiero teraz spojrzała do góry, aby dowiedzieć się, do którego świętego kierowała swe modlitwy.

Stała przy posagu Joanny d'Arc. Uśmiechnęła się lekko. Cóż za zrzędzenie losu! Anglicy kiedyś spalili ją na stosie, czy mimo to święta zechce teraz wysłuchać próśb angielskiej dziewczyny? Arletta czuła, że bohaterska Joanna ze wszech miar starałaby się zapobiegać wojnom między Anglią i Francją. Oba zwaśnione kiedyś narody powinny nauczyć się kochać i jednocześnie szanować odrębność każdego z nich.

Babcia na pewno pomogłaby jej zrozumieć postępowanie swych francuskich rodaków. - We mnie także płynie francuska krew, babciu - zwróciła się do niej w myślach. Przez krótką chwilę miała wrażenie, że widzi jej twarz, siwe włosy i uśmiech pełen aprobaty. Uklękła jeszcze raz przed ołtarzem i wyszła z kościoła.

Z bramy zamkowej wychodził właśnie lokaj, który eskortował ją do pokoju księżnej. Miał na sobie codzienne ubranie, był po służbie.

- Pani tutaj! - krzyknął zdziwiony.

- Tak, Jean! - odpowiedziała Arletta.

- Była pani w kościele - powiedział - ale skoro jest już pani w wiosce, koniecznie powinna pani odwiedzić wróżbiarkę.

- Nie, nie mogę tego zrobić! - broniła się Arletta.

- Dlaczego? - zapytał. - Nie znajdzie tu pani drugiej tak dobrej jak nasza. Nie ma co się zastanawiać. Znam ją od dziecka. Pani na pewno ją zaciekawia.

- Sama... nie wiem... - wahała się jeszcze. Taka wizyta mogła być interesująca. W historii

Francji sztuka wróżbiarska odgrywała znaczącą rolę. Arletta pierwszy raz w życiu miała okazję spotkać prawdziwą wróżbiarkę i dlatego postanowiła wykorzystać tę szansę.

- Dobrze, Jean - odparła, czując, że jej niezdecydowana postawa wygląda niemądrze - pójdę z tobą, ale będziesz musiał pożyczyć mi trochę pieniędzy, bo nie mam nic przy sobie.

- W porządku - zgodził się Jean. - Zapłacę za panią i poczekam na oddanie długu do czasu, gdy pani odbierze swoje wynagrodzenie.

- Oddam ci wcześniej - zapewniła - nie lubię mieć długów.

- Ależ z pani dumna osóbką! Słyszałem już, że Anglicy zadzierają nosa! - Zaśmiał się Jean.

Żartował sobie z niej, lecz Arletta ledwo się uśmiechnęła. Nie mogła się gniewać. Na pewno nie chciał być niegrzeczny. A mimo to było jej przykro, że lokaj, podobnie jak cały zamek, był inny niż się spodziewała.

- W tych okolicznościach muszę być przygotowana na wszystko, pomyślała, nawet na wizytę u czarownicy!

Rozdział 5

Chatka była mała, z niskim pułapem i przy wejściu Arletta musiała schylić głowę. Gdy wzrok przyzwyczaił się do panującego wewnątrz mroku, zobaczyła staruszkę owiniętą szalem, która grzała się przy ogniu, chociaż na dworze panował upał. Spięte na karku przerzedzone, szare włosy z jaśniejszymi pasemkami siwizny odsłaniały pomarszczoną szyję. Staruszka miała ostre rysy twarzy i garbaty nos, co czyniło ją podobną do czarownicy.

- Przyprowadziłem klientkę, Granny - odezwał się Jean.

- Kto to jest? - zapytała odwracając głowę staruszka.

Arletta przysunęła się bliżej. Zauważyła zacmę na obu oczach staruszki, co świadczyło o jej zupełnej ślepcocie.

- Jestem tu nowa - powiedziała cicho. - Jean zaproponował, abym tu przyszła, bo jest pani najważniejszą mieszkanką tej wsi.

- Naprawdę tak powiedział? - uśmiechnęła się staruszka. - Być może niektórzy tak uważają, ale są też tacy, co się mnie boją.

- Ja się nie boję.

Jean wsunął srebrną monetę w rękę wróżbiarki.

- Ta pani jest bardzo ładna, Granny, i chce poznać przyszłość. Na pewno znajdziesz dla niej coś niezwykłego.

Uśmiechnął się do Arletty i wyszedł z chaty, zamykając za sobą drzwi. Zaległa pełna oczekiwania cisza. Wydawało się, że staruszka przeniosła się do innego, jej tylko znanego świata magii. Arletta usiadła naprzeciw nie odzywając się.

- Pani przybywa zza mórz i coś ukrywa! - usłyszała po chwili.

Obejrzała się nerwowo w obawie, że Jean może coś słyszeć, lecz drzwi były zamknięte.

- Pani jest czymś zaintrygowana, ale również zmartwiona i przerażona. Widzę niebezpieczeństwo, wielkie niebezpieczeństwo! Widzę krew!

Arletta oddychała ciężko.

- Musi pani być ostrożna i dbać o swoje bezpieczeństwo. Jest pani zdana tylko na siebie. Proszę o tym pamiętać.

Jej głos przeszedł w szept. Arletta nie wiedziała, czy to już koniec przepowiedni.

- Będę o wszystkim pamiętać, ale to bardzo ponura wróżba - powiedziała łagodnie.

- Niektórzy z nas rodzą się zwycięzcami - usłyszała po chwili - pani jest jednym z nich.

- Dziękuję - odpowiedziała Arletta - lecz zupełnie nie wiem, o jakie zwycięstwo chodzi, czy o jakiś wyścig?

- To wyścig o życie, kochanie, wszyscy bierzemy udział w tej konkurencji - uśmiechnęła się staruszka.

- I pani jest pewna, że wygram?

- Tak.

Wróżbiarka odchyliła się na oparcie krzesła i przymknęła oczy. Arletta domyśliła się, że to już wszystko. Bardzo chciałaby wiedzieć więcej, jednak nie należało zadawać pytań.

- Dziękuję - powiedziała jeszcze raz i wstała. Staruszka nie odpowiedziała, więc Arletta wyszła z chaty. Jean czekał wsparty o drzewo.

- Czy była miła? - Zapytał. - Co mówiła?

- Raczej ponure wróżby - odparła. - Powiedziała, że czekają mnie kłopoty, ale dam sobie radę.

- To musi być prawda - powiedział Jean. - Pani nas wszystkich podniosła na duchu, choćby przez to, że możemy na panią patrzeć.

Arletta uśmiechnęła się nieznacznie, lecz nic nie odpowiedziała. Nie powinna spoufalać się z Jeanem.

Domyślała się, że był miejscowym Don Juanem. Wyciągnęła rękę na pożegnanie.

- Bardzo dziękuję ci, Jean. Byłeś dla mnie bardzo miły. Pieniądze oddam, gdy tylko zjawisz się w sali lekcyjnej.

- Dobrze - odpowiedział.

Domyślił się, że Arletta nie chce dłużej przebywać w jego towarzystwie. Uniósł rękę na pożegnanie i odszedł wąską uliczką, a ona wróciła do zaniku. Kiedy wchodziła na górę, znowu pojawił się hrabia.

- Panno Turner! - usłyszała jak ją woła - Chcę z panią porozmawiać!

- Idę właśnie do sali lekcyjnej.

- To bardzo dobrze - odpowiedział. - Pójdę tam z panią.

Nie była w stanie go powstrzymać. Milcząc szli korytarzem prowadzącym do wieży. Arletta łudziła się, że w sali będzie już czekać Paulina, ale pokój był pusty. Zdjęła kapelusz i zaczęła porządkować porzucane po całym stole książki.

Hrabia zamknął drzwi i stał przyglądając się jej.

- Czy przemyślała pani moją propozycję? - zapytał.

- Już usłyszał pan odpowiedz - rzekła chłodno Arletta. - Wciąż jest taka sama: „Nie!”

- Kobiety często zmieniają zdanie.

- Może to prawda, lecz ja nie mam zamiaru zmieniać swojej decyzji. Pańska propozycja mnie obraża i nie chciałabym więcej do niej wracać.

- Czyż może pani być tak niemądra? - zapytał. - Na pewno pani wie, że w Paryżu można się dobrze bawić. Mogę pani pokazać wiele interesujących rzeczy, mogę też nauczyć panią miłości.

Arletta wyczuła w jego głosie niebezpieczny ton.

- Już czas na lekcje Pauliny - powiedziała szybko. - Jeśli to jest wszystko, co miał mi pan do powiedzenia, proszę opuścić salę.

Hrabia zaśmiał się lekko i podszedł do niej. Zanim zdała sobie sprawę, co się dzieje, już trzymał ją w ramionach. Krzyknęła, usiłując się bronić, ale była zbyt słaba, żeby się uwolnić. Przyciągnął ją bliżej, zamierzając pocałować.

- Pragnę pani - powiedział - i nie interesuje mnie, co pani do mnie czuje, wystarczy, że ja wiem, czego chcę.

Widziała jego pałające żądzą oczy. Tym razem nie udawał.

- Proszę mnie puścić! - krzyknęła, próbując odepchnąć go od siebie. Jednak jego usta już sięgały jej ust. Odwracała rozpaczliwie głowę raz w jedną, raz w drugą stronę, aby uniknąć jego pocałunku i nie czuć gorącego oddechu na policzkach.

Nagle drzwi się otworzyły i do środka wbiegła Paulina. Hrabia puścił ją szybko.

- Spóźniłam się, proszę pani - zawołała - zasnęłam, a niania mnie nie obudziła!

- Nie... spóźniłaś się... za bardzo... - wyjąkała Arletta, próbując złapać oddech - A ponieważ jest takie piękne... popołudnie... wyjdziemy do ogrodu.

Paulina nie zorientowała się, co zaszło. Ale zauważyła hrabiego.

- Nie chcę, kuzynie, abyś przysłuchiwał się moim lekcjom. Śmiejesz się, gdy robię błędy - powiedziała.

- Ale nie śmieję się z panny Turner - odpowiedział. Nie był zły, lecz wyraźnie rozbawiony tym, co się wydarzyło. Patrzył na Arlettę tak, jakby był pewien, że wkrótce się podda i uczyni wszystko, o co ją prosi. Nie mogła dłużej znieść jego obecności. Sięgnęła po kapelusz.

- Wyjdziemy teraz do ogrodu, nie przebierając się - zwróciła się do Pauliny. - Powiesz mi, jak nazywają się po angielsku kwiaty i ptaki.

- Chyba pamiętam niektóre z nich, proszę pani. Paulina wsunęła maleńką rączkę w dłoń Arletty i nie oglądając się na hrabiego wyszły z sali lekcyjnej. Na dworze Arletta poczuła się lepiej. Lekcja z Pauliną w opromienionym słońcem ogrodzie ukoїła nerwy i rozdygotane serce.

Jeśli wróżbiarka miała na myśli niebezpieczeństwo ze strony hrabiego, powinna mieć się na baczności, bo to na pewno nie koniec jej kłopotów. Jak go przekonać, aby zostawił ją w spokoju? Może należałoby porozmawiać z księciem? Ale on nienawidzi Anglików i może uznać, że Arletta prowokuje hrabiego do zalotów.

- Co powinnam zrobić?

To pytanie nie dawało jej spokoju przez całe popołudnie podczas spaceru po ogrodowych alejkach. Usiadły wreszcie z Pauliną na kamiennej ławce u stóp posągu Afrodyty. Od tej strony zamek wyglądał wyjątkowo pięknie na tle bezchmurnego błękitnego nieba. Jaka szkoda, że wewnątrz tych pięknych murów dzieje się tyle zła! Otoczeni pięknem i artystyczną harmonią mieszkają w nim ludzie, którzy kryją w sercu nienawiść.

Znudzona przedłużającym się milczeniem Paulina pobiegła do fontanny. Przyglądała się z zaciekawieniem złotej rybce przemykającej między liśćmi lilii wodnej w kamiennym zbiorniku. Arletta zamyślona patrzyła na dziewczynkę i na strugi wody rozpryskujące się wesoło za jej plecami. Ten piękny obraz na zawsze zachowa w pamięci.

- O czym pani myśli, panno Turner? - usłyszała nagle zaskoczona.

Przy ławce stanął książę. Musiał przed chwilą wrócić z przejażdżki, gdyż miał na sobie bryczesy i marynarkę do konnej jazdy.

- Proszę nie wstawać - uprzedził jej zamiary, siadając obok niej.

- Skoro już wróciliście - odezwała się - pójdę poszukać Dawida.

- Dawid został, żeby ćwiczyć skoki według moich wskazówek - odpowiedział książę. - Jest z nim stajenny i nie musi go pani teraz pilnować.

Mówił charakterystycznym dla siebie, trochę oschłym, lekceważącym tonem. Arletta poczuła się niezręcznie, jakby bez potrzeby robiła zbyt dużo zamieszania. Odwróciła głowę i patrzyła na Paulinę stojącą przy fontannie.

- Jestem ciekaw, co pani sądzi o moim zamku - odezwał się książę.

- Myślałam o nim przed chwilą - uśmiechnęła się Arletta.
- Jest bardzo piękny, ale brakuje w nim miłości i szczęścia.

- Prawie wszystkie kobiety myślą tylko o miłości - zauważył książę złośliwie.

- Nie miałam na myśli tego rodzaju miłości - powiedziała szybko. - Chodzi mi o uczucia pobudzone przez piękne widoki, ogrody i stare, świetnie zachowane zanki - takie jak pański.

- Jakże mogłem nie pojąć tej prostej różnicy! - wyraźnie drwił z jej słów.

- Proszę wybaczyć zuchwalstwo, ale przy okazji chciałabym powiedzieć, że lekceważąca postawa Waszej Książęcej Mości bardzo szkodzi dzieciom. Są sierotami i obawiam się, że dorastając w zamku, mogą niewłaściwie zrozumieć zasady rządzące tym światem.

Miała nadzieję, że skłoni księcia do przemyślenia swojego postępowania i nazbyt otwartego okazywania uczuć.

Książę popatrzył na nią.

- Uważam, panno Turner, że jak na Angielkę, jest pani dość niezwykłą guwernantką.

- Wszystkie guwernantki mają na uwadze dobro swoich podopiecznych i zależy im zarówno na ich wiedzy, jak i na nauce życia.

- A pani jest osobą, która świetnie się na tym zna? - zadrwił książę.

- Prawdą jest - odpowiedziała - że wiem jeszcze niewiele, dlatego zresztą wciąż tak łatwo przenoszę się do świata fantazji. I nie chciałabym utracić tej umiejętności w pańskim zamku.

Nie spodziewał się takiej odpowiedzi.

- Dobrze! Zastanowię się nad tym - odpowiedział. Po chwili wstał i odszedł. Czy się obraził? Nadszedł czas wracać do zamku i sali lekcyjnej.

Zawołała więc Paulinę, która po drodze opowiadała Arletcie o złotej rybce.

W korytarzu wiodącym do sali lekcyjnej czekał na niego hrabia. Paulina nie miała ochoty z nim rozmawiać i szybko pobiegła na górę. Arletta chciała zrobić to samo, ale hrabia zdążył ją przytrzymać.

- Co pani mówił mój kuzyn? - zapytał z dzikim wyrazem twarzy.

Arletta popatrzyła na niego zdumiona, ponieważ spodziewała się zupełnie innego pytania.

- Czy to ważne? - Chcę wiedzieć! Wyglądał jak szalowiec.

- Nic ciekawego - powiedziała szybko. - Po prostu wyjaśnił, że Dawid nie wrócił jeszcze do sali szkolnej, ponieważ ćwiczy skoki.

- Czy to wszystko?

- Wszystko, co miałoby jakieś znaczenie - odpowiedziała i odeszła.

Patrzył za nią aż zniknęła za drzwiami sali szkolnej. Nie mogła uwierzyć, żeby kierował się zazdrością, choć w jego głosie było wiele niepokoju, gdy pytał o rozmowę z księciem.

Przynajmniej jedno jest pewne, pomyślała, to bardzo nieznośny człowiek.

Tego wieczoru do obiadu zasiadło kilkoro gości, między innymi markiz i markiza de Vasson, którzy mieszkali około sześciu mil od zamku. Markiza była niezwykle piękną kobietą, choć już nie pierwszej młodości. Arletta z upodobaniem przyglądała się francuskim gościom. Jeszcze przed końcem obiadu wywnioskowała, że markiza i książę kiedyś byli sobie bardzo bliscy. Markiza wciąż jeszcze wyraźnie zakochana używała wielu podstępów, aby tylko skupić na sobie jego uwagę. Może próbowała w ten sposób na nowo ożywić w nim uczucie, które dawno wygasło? Arletta nie miała doświadczenia w tego typu sprawach i kierowała się jedynie instynktem i spostrzegawczością.

Książę zwracał się do markizy obojętnie swym zwykłym, sarkastycznym tonem i nie było nic w wyrazie jego półprzymkniętych oczu, co pozwalałoby wnioskować, że markiza go interesuje. Jednak Arletta czuła, że on także kiedyś ją kochał. Mąż markizy był dużo starszym, odrobinę przygłuchym mężczyzną, o siwych włosach. Zanudzał wszystkich nieprzerwanym monologiem.

Hrabia miał przy sobie dwie piękne, choć niezbyt młode kobiety, które usilnie starały się go zabawić. Ale on był wyraźnie tym znudzony, co chwilę spoglądał na Arlette, która siedziała razem z dziećmi. Podobnie postępował inny mężczyzna, mąż jednej z kobiet zabawiających hrabiego, wyglądający na miejscowego uwodziciela w podeszłym wieku. Arletta była jednak pewna, że wykorzystywał młode dziewczęta, jeśli tylko nadarzała się ku temu okazja. Na

Arletkę zwrócił uwagę jeszcze przed obiadem, gdy wprowadzono do salonu dzieci, aby spotkały się z gośćmi.

Dawid skłaniał się francuskim zwyczajem nad dłońmi dam, a Paulina przed każdym gościem dygała. Arletta została z tyłu, pamiętając, że tak zachowywała się kiedyś jej własna guwernantka. Ale jakże była zaskoczona, gdy księżę podprowadził ją do przodu i przedstawił mówiąc:

- Wiem, że zdziwi was obecność Angielki w moim zamku. Jest tu na prośbę ciotki Dawida i Pauliny, lady Langley. Była tu niedawno i bardzo nalegała, aby dzieci zaczęły się uczyć języka angielskiego, a ja sam nie mogę przecież tego robić!

Goście zaśmiali się, a markiza wsparła rękę na jego ramieniu.

- Ależ, mój drogi księżę, jakże miałbyś uczyć jakiegoś języka, skoro jesteś wybitnym znawcą historii sztuki! - rzekła znacząco.

- Pani mi schlebia! - powiedział księżę sucho, nie przerywając prezentowania Arletty.

Na wieść o przyjęciu Arletta rozmyślnie włożyła niezwykle skromną suknię wieczorową, w której zresztą wyglądała prześlicznie, a włosy ciasno związała z tyłu, tak jak robią to guwernantki. Ale niesforne pukle już po niedługim czasie utworzyły falistą aureolę wokół jej owalnego czoła.

Nikt, nie zwróci na mnie uwagi, myślała, przede wszystkim powinnam wyglądać skromnie i porządnie. Jednak, jak kiedyś trafnie spostrzegła Jane, Arletta doskonale wyglądała w każdym stroju. Nie mogła też ukryć swych ogromnych oczu i drobniutkiej, pociągłej buzi.

- Czy pani jest bardzo surową guwernantką? - zapytał ją ów uwodziciel.

- Staram się - odpowiedziała Arletta.

- Moim zdaniem - powiedział - pani usta nie zostały stworzone do rozmawiania po angielsku z siostrzeńcem i siostrzenicą księcia, lecz do całowania!

Arletta zmieszana i zarumieniona odwróciła się, aby powiedzieć coś do Pauliny. Podczas obiadu siedział po przeciwnej stronie stołu i nie odrywał od niej oczu. Gdy tylko podniosła wzrok napotykała wpatrzony w siebie oczy jego lub hrabiego.

Po skończonym obiedzie z ulgą odprowadziła Paulinę na górę. Dawid miał zostać z gośćmi trochę dłużej, lecz niedługo potem wbiegł do sali szkolnej.

- Oni rozmawiali o pani, gdy pani wyszła - powiedział z uśmiechem.

- Co mówili? - zapytała Arletta.

- Że jest pani za ładna i za młoda jak na guwernantkę! Markiza obiecała wujkowi Etienne, że znajdzie kogoś lepszego na pani miejsce.

- A co na to twój wujek?

- Ja pierwszy powiedziałem markizie - opowiadał Dawid - że pani jest świetną guwernantką, że dobrze pani uczy i nie chcę, aby robił to kto inny!

- To bardzo miło z twojej strony, Dawidzie - wzruszyła się Arletta.

- Wszyscy się ze mnie śmiali - powiedział Dawid trochę zaniepokojony. - A ten grubas z czerwoną gębą powiedział: „Masz rację chłopcze, zatrzymaj ją może dopisze ci szczęście!”

- Dziękuję - powiedziała Arletta - lepiej będzie, jeśli pójdziesz teraz do łóżka. Nie powinniśmy stracić jutrzejszego poranka.

- Mój angielski jest już lepszy, prawda proszę pani? - zapytał Dawid niespokojnie.

- Uczyłeś się bardzo pilnie, dlatego jestem z ciebie dumna
- odpowiedziała Arletta. - Ale ciągle czeka cię jeszcze wiele pracy.

- Wiem o tym - odpowiedział Dawid - dlatego, zanim pójdę do łóżka, będę rozmawiał ze sobą po angielsku, a nawet spróbuję myśleć w tym języku!

- To bardzo mądre postanowienie.

Schyliła głowę i pierwszy raz od chwili przyjazdu ucałowała Dawida. Chłopczyk przytulił się do niej.

- Lubię być z panią - powiedział.

Odwzajemniła jego uścisk. Wiedziała, że chłopcu brakuje matki.

- Dobranoc, Dawidzie, śpij dobrze, życzę ci kolorowych snów!

- To ja powinienem życzyć tego pani - odpowiedział Dawid - na wypadek, gdyby nawiedziły panią duchy.

- Wątpię - uśmiechnęła się i poszła na górę do swojej sypialni.

Pokojówka zostawiła przy łóżku małą lampkę naftową. Najpierw podkręciła płomień na większy i dopiero wtedy podeszła do drzwi, aby zamknąć je na klucz. Ale klucz zniknął bez śladu. Może wypadł z zamka na podłogę? Schyliła się, aby go poszukać, lecz tam także go nie było. Wtedy bardzo się zdenerwowała.

A jeśli to hrabia był w jej pokoju? Trudno było uwierzyć, żeby dżentelmen mógł zachować się tak niegodnie. Jednak dobrze pamiętała, jak usiłował ją pocałować, a potem zazdrośnie rozpytywał, o czym rozmawiała z księciem. Jeśli przyszedłby do jej pokoju w nocy, nikt nie usłyszałby krzyków.

Poczuła nagle, jak opuszcza ją odwaga. W pokoju na wieży stała bardzo młoda, bezbronna, bezradna, zdana tylko

na siebie dziewczyna. Jane miała rację, gdy ostrzegała ją przed Francuzami.

- Co powinnam zrobić? Co robić?

Powinna poprosić kogoś o pomoc. Ale księciu nie należy mówić o zniknięciu klucza, gdyby zaś poprosiła ochmistrzynię o zmianę pokoju, służba będzie mieć kolejny temat do plotek i wkrótce o wszystkim dowie się również księżna.

- Co robić?

Była bardziej przerażona groźbą ujrzenia hrabiego aniżeli któregokolwiek z duchów. Po chwili przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Przecież w zamku była zbrojownia! Pierwszego dnia, gdy Dawid oprowadzał ją po domu zwiedzili między innymi pomieszczenie, w którym stała armata, łuki, strzały i stare muszkiety używane niegdyś przez prywatne armie książąt de Sauterre. Wtedy zauważyła również gablotę z mniejszą bronią.

- Niektóre z nich - wyjaśnił Dawid - są prezentami dla książąt francuskich od królów, książąt, sułtanów i szejków.

Chłopiec chciał pokazać Arletcie całą zbrojownię i bardzo się spieszył, miała więc niewiele czasu, aby przyjrzeć się zawartości gabloty. Zdążyła jednak zauważyć mały rewolwer wysadzany drogimi kamieniami.

- Co to jest? - zapytała Dawida, zainteresowana błyszczącymi kamieniami.

Nie otrzymała odpowiedzi, bo Dawid zdążył już odejść. Przeczytała na kartce, że rewolwer podarował ówczesnemu księciu car Rosji. A teraz był chyba jej jedyną deską ratunku. Nie zwlekając zbiegła na dół. Odnalezienie drogi do zbrojowni nie było jednak łatwe, bo znajdowała się po przeciwległej stronie zamku. Niektóre pomieszczenia oświetlano już gazem, ale w starszej części wciąż jeszcze były lampy naftowe bądź świece. Wraz z końcem długiego korytarza skończyło się także i to wątłe światło. Wzięła więc

jedną ze świec i przyświecała nią sobie przez resztę drogi do zbrojowni.

Na szczęście drzwi nie były zamknięte na klucz, więc weszła do środka. Poczowała przenikliwie zimno gołych murów. Pomieszczenie z wysokim sklepieniem, kamienną posadzką, ciemne i nieruchome, nie należało do przyjemnych. Arletta podeszła do gabloty, podniosła pokrywę i zobaczyła bogatą kolekcję pałasy, sztyletów i rewolwerów służących do pojedynków. Nie miała kłopotów z odnalezieniem pistoletu, ponieważ zdobiące rękojeść ametysty i diamenty migotały w blasku świecy.

Odstawiła świecę i wzięła pistolet do ręki.

Strzelała kiedyś z dubeltówki i starego rewolweru ojca. Próbowwała też pistoletu do pojedynków, który należał do jej pradziadka. Za czasów Grzegorza IV - ówczesnego księcia Walii - pradziadek często się pojedynkował i dlatego miał opinię zawiadziaki.

A teraz ona miała przed sobą ozdobny pistolet, który nadawał się jeszcze do użytku, tym bardziej że obok leżał mały stos pozłaczanych naboji. Zebrała wszystkie i udała się w drogę powrotną, niosąc naboje i rewolwer w jednej ręce, a świecę w drugiej. Dotarła do oświetlonej części długiego korytarza i wstawiła świecę do lichtarzyka, z którego ją uprzednio wyjęła.

Wtedy usłyszała jakieś głosy. Ktoś zbliżał się korytarzem. Pospiesznie ukryła się w półmroku najbliższych drzwi.

Z salonu, do którego udali się goście po skończonym obiedzie, wyszło dwoje ludzi. Szli korytarzem w jej stronę. Wkrótce rozpoznała księcia i markizę. Przyłgnęła mocniej do drzwi, ale mimo wszystko bała się, że mogą ją zauważyć. Nacisnęła więc klamkę i wślizgnęła się do środka.

Widziała ich przez szczelinę w lekko uchylonych drzwiach. Trzymali się za ręce.

- Tęskniłam za tobą, Etienne - usłyszała głos markizy. - Jak mogłeś kazać mi czekać na siebie tak długo? Jesteś okrutny!

- Ludzie plotkowali o nas, Justine - odpowiedział książę - a to mogłoby ci zaszkodzić.

- Może to prawda, ale ja cię kocham - odpowiedziała markiza, a Arletta poczuła dziwny ból w sercu.

Oddalili się i nic więcej nie usłyszała. Z pewnością udali się do małej ptaszarni, w której trzymano uwielbiane przez Paulinę małe, niezwykle ptaszki. Nietrudno było się domyślić, że spacer do ptaszarni to tylko pretekst wymyślony przez markizę, aby odciągnąć księcia od reszty gości.

Kiedy zniknęli za drzwiami, wymknęła się pospiesznie i już bez przeszkód dotarła do swojej sypialni.

Położyła rewolwer na toalecie. Poczowała się pewniej. Nie było powodu wpadać w panikę. Ładując go pomyślała, że pociski były zbyt małe, aby uśmiercić człowieka, chyba że trafiłyby w bardzo czułe miejsce. Nawet tak mała kula sprawiłaby wiele bólu, gdyby utkwiała w nodze lub ręce.

Teraz jestem bezpieczna, pomyślała i odłożywszy pistolet zaczęła przesuwac meble, żeby zabarykadować drzwi. Znalazła dość wysokie krzesło, którym można było zablokować klamkę, a potem z dużym wysiłkiem przysunęła ciężką komodę.

W ten sposób na pewno powstrzymam hrabiego, pomyślała z zadowoleniem. Rozebrała się i położyła do łóżka, a pistolet schowała pod poduszkę. Z dumą myślała o swoich poczynaniach.

- Wróżbiarka miała rację - powiedziała głośno. - W tej bitwie odniosę zwycięstwo. Nagle przypomniała sobie z przerażeniem, że staruszka w swej przepowiedni widziała także krew. - Kiedy będzie wiedział, że mam rewolwer -

pocieszyła się - nie będzie takim głupcem, aby ryzykować utratę życia.

To była przerażająca myśl, lecz zmęczona zbyt pracowitym i upalnym dniem, szybko zapadła w głęboki sen.

Kiedy się obudziła, słońce świeciło już przez zasłony. Był poranek. Usiadła na łóżku i popatrzyła na meble ustawione przy drzwiach. Czy hrabia próbował dostać się tej nocy do jej pokoju? Jeśli tak, to pomysł z meblami okazał się skuteczny. Nie chciał ryzykować narobienia hałasu przy forsowaniu drzwi. W każdym razie noc była spokojna i nikt nie zakłócał jej snu. Odstawiła meble na miejsce, zanim zjawiała się pokojówka.

Ubrała się i zeszła na dół razem z dziećmi na śniadanie. Nie zastała tam ani hrabiego, ani księcia. Dowiedziała się od służby, że hrabia wyjechał wcześniej do przyjaciół, a księżę, jak zwykle o tej porze, jeździ konno.

Ranek potoczył się zwykłym trybem. Dawid miał swoją lekcję, a potem ku radości Arletty udali się we dwoje na konną przejażdżkę.

Trudności, z jakimi zetknęła się w zamku, nawet kłopoty związane z hrabią, były niczym w porównaniu z radosnymi przyjemnościami, jakie czerpała z jazdy konnej, mieszkania w pięknych wnętrzach zamkowych i korzystania z innych przywilejów.

Jeździli po parku aż do lunchu. Powinni wracać do zamku, gdy nagle dostrzegli zbliżającego się konno księcia. Wyglądał wspaniale.

- O, wujek Etienne tu jedzie! - Dawid był wyraźnie niezadowolony. - Zaraz zaczniesz wytykać nam błędy!

- A może nas pochwali - zasugerowała Arletta. - Wiesz, Dawidzie, uważam, że jest dość wyrozumiały, skoro zgodził się na angielską guwernantkę.

- To prawda - powiedział Dawid. - Myślałem, że będzie robił więcej trudności.

- Postaraj się być miły - dodała jeszcze pospiesznie, bo księżę był już bardzo blisko,

- Dzień dobry, wujku Etienne! - przywitał się Dawid, gdy księżę uniósł kapelusz pozdrawiając Arlette. - Chcesz zobaczyć, jak szybko umiem jeździć na Le Roi? Nigdy dotąd nie jeździłem na tak dużym koniu.

- Owszem, jestem ciekaw twoich postępów - odpowiedział księżę.

Dawid skierował konia na długi, równy kawałek pola, gdzie przed chwilą jeździł księżę, machnął batem i pomknął jak strzała. Księżę patrzył za nim z nikłym uśmiechem na twarzy.

- Chyba lepiej będzie, jeśli pojedziemy za nim, panno Turner - zwrócił się do Arletty. - Czy udała się przejażdżka?

- Nie można sobie wymarzyć wspanialszego konia niż ten, na którym dziś jeździłam - odpowiedziała Arletta.

- Wnioskuje, że ma pani zwyczaj jeździć konno również w marzeniach.

- Tak, ale tylko wtedy, gdy mogę dosiadać tak wspaniałych koni jak ten.

Rozbawiła go trochę ta odpowiedź, jednak nie odezwał się podczas galopu do miejsca, gdzie czekał Dawid. Arletta nie zostawała w tyle.

- Bardzo dobrze pani sobie radzi! - pochwalił księżę.

- Mój ojciec życzył sobie, abym umiała dobrze jeździć konno.

- Na pewno był z pani bardzo zadowolony.

To zabrzmiało prawie jak komplement. Arletta spojrzała na księcia z uśmiechem.

- Właśnie myślałam, tuż przed pańskim przyjazdem, że przyjemność dosiadanania tak pięknych koni równoważy wszelkie troski, jakie zdarzają się w życiu.

- Czy pani ma jakieś problemy? - zapytał książę.

Arletta przypomniała sobie hrabiego i odwróciła wzrok.

- Owszem.

- Może pomógłbym je rozwiązać?

Arletta popatrzyła na księcia zdziwiona jego propozycją.

- Nie, nie! - zaprzeczyła żywo. - Oczywiście, że nie! Muszę sama nauczyć się troszczyć o siebie, tak powiedziała wróżbiarka!

- Wróżbiarka? - Powtórzył z niedowierzaniem. - Czy mam rozumieć, że poszła pani do tej starej szarlatanki? - spytał poirytowany.

Arletta pożałowała tego wyznania.

- Czy dobrze pojechałem, wujku Etienne, dobrze? - dopytywał się chłopiec, gdy zatrzymali się obok jego konia.

- Bardzo dobrze! - powiedział książę. - Twoja matka na pewno byłaby z ciebie dumna!

Nie dodając ani słowa zawrócił konia i odjechał, zostawiając ich samych.

Patrzyli za nim przez chwilę.

- Czy pani słyszała, co on powiedział? - chłopiec był bardzo przejęty. - On mnie pochwalił! Zrobił to pierwszy raz w życiu!

Rozdział 6

Arletta bardzo się ucieszyła z nieobecności hrabiego podczas lunchu. Książę był w świetnym nastroju. Opowiadał ciekawe historie o zaniku i widać było, że mniej niż przedtem drażni go towarzystwo Arletty.; Zmienił również swą postawę wobec dzieci, przynajmniej nie wyrażał się lekceważąco o ich nauce.

- Jakie macie plany na popołudnie? - zapytał po skończonym lunchu.

- Miałam ochotę, Wasza Książęca Mość - odpowiedziała po chwili Arletta - wybrać się z Dawidem na konną przejażdżkę przy tak pięknej pogodzie. Jeśli uważa pan, że nie powinniśmy jechać, zajmiemy się czymś innym.

- Uważam, że to świetny pomysł, jeśli tylko będziecie trzymać się cienia drzew, gdzie jest odrobinę chłodniej - odpowiedział książę. - Może będę mógł pojechać z wami i pokazać kilka wartych obejrzenia miejsc w moich lasach?

Arletta zdziwiła się jego ofertą, lecz przyjęła ją z wdzięcznością. Razem z księciem pojechali w innym, niż zwykle, kierunku do prastarych lasów. Arletta była oczarowana okolicą. Dobry nastrój udzielił się też Dawidowi, który szczebiotał wesoło bez najmniejszego skrepowania.

W centrum lasu dotarli do starej kaplicy, która pochodziła z czasów budowy zamku.

- Nigdy jej nie wykorzystano - powiedział książę.

Mimo to Arletta czuła podniosłą atmosferę świętości, podobną do tej, która udzieliła się jej w starym kościele. Wnętrze świeciło pustkami. Ptaki wiły gniazda między krokwiami, a jaszczurki przemykały po gołych, kamiennych murach. Arletta pomyślała o leśnych zwierzętach, dla których to miejsce na pewno było ostoją bezpieczeństwa przed myśliwymi lub silniejszymi drapieżnikami.

- Kiedy byłem chłopcem, wyobrażałem sobie ranne zwierzęta, uciekające do tej kaplicy, gdzie duchy mnichów opatrywały im rany. Pani myśli teraz o tym samym - odezwał się książę, jakby czytał w jej myślach.

- Skąd pan wie? - zapytała zdziwiona. Uśmiechnął się tajemniczo.

- Wyczytałem to w pani oczach!

Poczuła się onieśmielona i w drodze powrotnej tylko Dawid rozmawiał ze swoim wujkiem. Rozmyślała o księciu. Był dla niej miły, więc miała nadzieję, że dla dobra dzieci w zamku zapanuje teraz szczęśliwsza atmosfera niż ta, którą zastała tuż po przyjeździe.

Ten człowiek ma niezwykle silną osobowość - snuła rozważania - zamiast przerażać, powinien inspirować otaczających go ludzi. Niewyraźnie docierał do niej głęboki głos księcia, który odpowiadał na jedno z pytań Dawida, i dodała: - Powinien być wychowawcą... Po chwili wewnętrzny odgłos, nad którym nie miała kontroli, dokończył: - ... w miłości.

Kiedy wrócili i weszli do holu, lokaj poinformował Arlettę, że czeka na nią księżna. Przez ostatnie dwa dni staruszka źle się czuła i nie życzyła sobie nikogo widzieć. Arletta zmieniła strój dojazdy konnej na jedną ze skromniejszych sukni i lokaj zaprowadził ją do apartamentów księżnej. Sędziwej damie znów udało się zadziwić Arlettę swym niepospolitym wyglądem. Miała na sobie rubinowy naszyjnik, ogromne rubiny w uszach i takie same kamienie na przegubach rąk i na palcach. Patrzyła na Arlettę przenikliwie, tak jak ostatnio.

- Podejź tu i opowiadaj o sobie, młoda damo - powiedziała. - Podobno Jacques zaleca się do ciebie i jeździłaś konno z moim wnukiem.

Arletta nie mogła powstrzymać śmiechu.

- Z czego się śmiejesz? - zapytała księżna.

- Z tego, madame - odpowiedziała Arletta - że pani doskonale wie o wszystkim, co dzieje się w zamku, chociaż nie rusza się pani z łóżka.

- A cóż innego mi pozostało oprócz słuchania plotek o dziwactwach i wybrykach innych ludzi? - obruszyła się księżna.

Arletta nie odpowiedziała.

- Co Jacques ci naopowiadał? Ten chłopak nie ma zwyczaju zalecać się do guwernantek. Odwzajemniasz jego zaloty?

- Zapewniam panią, madame - odrzekła chłodno Arletta - że powiedziałam już hrabiemu Jacquesowi dość kategorycznie, aby zostawił mnie w spokoju i mam nadzieję, że tak uczyni.

- Planujesz wydać się za kogoś wyżej postawionego niż hrabia? - zapytała podejrzliwie księżna:

- Planuję jedynie nauczyć Dawida mówić płynnie po angielsku przed jego wyjazdem do Eton. Chłopiec robi wielkie postępy; bardzo chce się uczyć i dlatego łatwo mu to przychodzi.

- Uważasz się więc za dobrą nauczycielkę, nieprawdaż? - zapytała księżna.

- Mam nadzieję, że tak jest - odpowiedziała Arletta.

Księżna popatrzyła na nią uważniej, jakby chciała przejrzeć jej osobowość i poznać zamiary.

- Opowiedz mi o sobie, to musi być bardzo ciekawe - zażądała po chwili.

- Moje dzieje nie są tego warte, zanudzę panią, madame - wykręciła się od odpowiedzi Arletta. - Pani raczy wybaczyć, ale chciałabym zająć się trochę Pauliną, w przeciwnym razie będzie się czuła bardzo opuszczona. Prawie cały dzień spędziłam z Dawidem.

- Zwykła wymówka, jak sądzę - mruknęła księżna pod nosem. - Nic nie szkodzi, prędzej czy później prawda ujrzy światło dzienne!

- Mnie też tak mówiono, madame - powiedziała Arletta. - Ale gdy ktoś nie boi się prawdy, po co ma się martwić?

Dygnęła przed staruszką i nie zwlekając skierowała się do wyjścia. Bała się, że księżna każe jej wrócić, jak ostatnio, ale nic się nie stało i Arletta z westchnieniem ulgi znalazła się na korytarzu. Natknęła się tam na pokojówkę.

- Nie powinna pani brać sobie do serca tego, co mówi księżna - starsza kobieta zaczęła usprawiedliwiać swą panią jeśli nawet wyda się to niegrzeczne. Ona jest bardzo stara i schorowana. Trudno jej się pogodzić z tym, że jest od wszystkiego odsunięta.

- Rozumiem - powiedziała łagodnie Arletta.

- Martwi się też tym - ciągnęła pokojówka - co hrabia Jacques mówi jej o księciu.

Arletta domyślała się, co pokojówka ma na myśli, więc powiedziała:

- Może mogłaby pani przekonać madame, że nie zawsze trzeba wierzyć hrabiemu. Jeśli chodzi o mnie, uważam, że doskonale umie przysparzać kłopotów!

Nie powinna mówić takich rzeczy. Ale nie miała wątpliwości, że hrabia opowiada księżnej zmyślane historie dotyczące jej i księcia, idealizując jednocześnie swoje postępowanie.

- Najlepiej by było, gdyby stąd wyjechał - szepnęła pod nosem, wracając do wieży.

Odbyła z Pauliną krótką lekcję, korzystając z książek przyniesionych z biblioteki, a Dawid w tym czasie tłumaczył na angielski tekst z historii.

- Jest jeszcze jedno miejsce w zamku, którego pani nie widziała - odezwał się w pewnej chwili chłopiec. - Mam na myśli lochy.

- Słyszałam o nich okropne rzeczy i wcale nie jestem ich ciekawa - odpowiedziała Arletta.

- Może jednak poszłaby tam pani ze mną? - zaproponował. - Dziwne, że nie słyszała pani jeszcze żadnych jęków ani krzyków więźniów.

- Chcesz powiedzieć, że lochy znajdują się pod tą wieżą? - zapytała Arletta.

- Większość z nich - odparł Dawid. - W jednym z nich są drzwi zapadowe, które opadając na dół zostawiają ogromną dziurę w podłodze.

- Słyszałam o tego rodzaju zapadniach - powiedziała Arletta. - Uważam, że są okrutne!

- Książę de Sauterre miał w XVII wieku najokrutniejszą zapadnię ze wszystkich - powiedział Dawid z dumą. - Kiedy szarpnął dźwignię, ofiara wpadała do klatki zamocowanej głęboko na dnie rzeki i tam się topiła.

Arletta pomyślała, że było to niezgodne z wszelkimi zasadami wojny, na mocy których zawsze istniała szansa wymiany jeńców lub ich uwolnienia po zakończeniu działań wojennych.

- Nie rozmawiajmy już o tym, Dawidzie - powiedziała - i, prawdę mówiąc, wcale nie mam ochoty oglądać tych twoich lochów.

- Są głęboko pod nami - powiedział Dawid wesoło. - Nie ma powodu myśleć o nich, dopóki nie usłyszysz pani przeraźliwych krzyków tych, którzy tam umarli.

- Od kiedy tu przyjechałam nie słyszałam ani nie widziałam żadnych duchów - powiedziała stanowczo Arletta. - Jestem przekonana, że wszystkie te opowieści to tylko bzdurne wymysły. Żeby nie przedłużać nieprzyjemnej

rozmowy, zaproponowała dzieciom karmienie ptaków w ptaszarni. Obojgu bardzo spodobał się ten pomysł. Pobiegły co prędzej na dół korytarzem, w którym poprzedniego wieczoru Arletta widziała księcia i markizę.

Nie mogła przestać myśleć o tej dwójce. Wciąż słyszała w uszach czułe słówka i miłosne wyznania markizy. Patrząc, jak dzieci biegają od klatki do klatki, dając ptakom smakowite nasiona i owoce, zastanawiała się, czy książę, gdy zaleca się do kobiety, jest równie znudzony i sarkastyczny jak w innych sytuacjach. Nagle zachnęła się. Jakże nieskromnie postępuje, rozmyślając o księciu w ten sposób!

- Chciałabym mieć małego ptaszka tylko dla siebie - powiedziała Paulina. - Śpiewałby mi w sali lekcyjnej.

- Musiałabyś zapytać wujka o pozwolenie. Chyba nie będzie miał nic przeciwko temu.

- Jestem pewna, że wujek Etienne się nie zgodzi - narzekła Paulina.

- Spróbować nigdy nie zaszkodzi - przekonywała Arletta.

- Był dziś dla mnie wyjątkowo miły - wtrącił Dawid.

- Kto był dla ciebie miły? - usłyszeli głos przy drzwiach.

Arletta obejrzała się i serce jej zamarło. Do ptaszarni wszedł hrabia Jacques, a miała już nadzieję, że przez jakiś czas będzie wolna od jego obecności.

- Mówiłem o wujku Etienne - odpowiedział Dawid.

- Dlaczego był dla ciebie miły? - dopytywał się hrabia.

- Madame i ja jeździliśmy konno razem z nim. Zabrał nas do starej kaplicy w lesie i opowiadał ciekawe rzeczy!

Dawid mówił wyzywająco, jakby oczekiwał, że hrabia powie, iż nie było to nic szczególnego. On jednak popatrzył na Arlettę jakoś dziwnie.

- Więc mój szanowny kuzyn był miły, pomimo że jest pani Angielką? - zapytał.

Arletta sama już o tym myślała i nie było potrzeby, aby hrabia Jacques to podkreślał. Bez wątplenia powie zaraz o tym księżnej, a ona wymyśli sobie resztę.

- Myślę - powiedziała zimno, powstrzymując irytację - że Jego Książęca Mość pogodził się z tym, że najważniejsza dla Dawida jest nauka języka przed wyjazdem do angielskiej szkoły.

- I oczywiście jest wielkim szczęściarzem, bo trafił na taką atrakcyjną, czarującą i inteligentną nauczycielkę.

Arletta westchnęła. Męczyły ją te komplementy. Najwyraźniej wciąż wierzył, że ona wyjedzie z nim do Paryża. Nigdy nie złożyłby podobnej propozycji Arletcie Weir, ale nie mógł przecież wiedzieć, że nie ma do czynienia ze zwykłą angielską guwernantką. Nie ośmieliłby się również namawiać do wyjazdu żadnej francuskiej dziewczyny pochodzącej z szanowanej rodziny.

- Chyba już czas, abyśmy wrócili do sali szkolnej - zwróciła się do dzieci Arletta.

- Dobrze - zgodził się Dawid.

Paulina niechętnie odeszła od ptaków, wciąż powtarzając, że chce mieć jednego tylko dla siebie.

Hrabia nie odezwał się, jednak Arletta czuła na sobie jego przenikliwy wzrok.

Co za nieznośny człowiek, myślała. Nie chcę mieć z nim nic wspólnego. Zamknięty w szufladzie rewolwer dodawał jej pewności siebie.

Tym razem na obiedzie nie było gości. Książę znów był dla wszystkich bardzo miły i opowiadał interesujące rzeczy. Rozmawiała z nim o obrazach wiszących w zamku i zauważyła, że był zdziwiony jej rozległą wiedzą o sztuce. Ach, jakże wielką miała ochotę powiedzieć mu, że w jej rodzinnym Weir House wisiała znakomita kolekcja portretów

rodziny, która uchodziła za jedną z najlepszych w całej Anglii!

Hrabia był tego wieczoru dziwnie milczący. Może się obraził? W każdym razie miał dziwny wyraz oczu, który zwrócił jej uwagę. Wiedziała, że ponownie przesunie meble, aby zabarykadować drzwi i będzie spać z małym rosyjskim rewolwerem pod poduszką.

Miała za sobą bardzo męczący dzień, dlatego zasnęła bardzo szybko. Śniła, że jedzie na ogromnym koniu, kiedy nagle coś ją obudziło. Od razu pomyślała o hrabi. Potem leżąc chwilę w ciemnościach przysłuchiwała się z napięciem, czy usłyszy hałas forsowanych przez niego drzwi.

Rano powinna chyba poprosić ochmistrzynię o inny klucz lub o zamocowanie sworznia, który okazałby się bardziej skuteczny. Ale wiedziała przecież, że jeśli to zrobi, niedługo o zaginionym kluczu będzie rozprawiać cała służba i nowina dotrze także do księżnej.

Wyobraziła sobie ciekawskie spojrzenia i tłumione na jej widok szepty, jakby to była jej wina, że ktoś zabrał klucz.

Przez kilka sekund nie usłyszała żadnego dźwięku i przeświadczona, że się myliła - odwróciła się na drugi bok gotowa ponownie zasnąć. Nagle usłyszała krzyk. Nie był zbyt donośny, przypominał skowyt powodowany bólem. Przemknęło jej przez myśl, że to duchy, o których Dawid tak wiele opowiadał. Sparaliżowało ją przerażenie i po następnym krzyku zamknęła oczy, jakby się bała, że widmo zaraz stanie przed nią w ciemnościach. Drżała jeszcze ze strachu, gdy zdrowy rozsądek nakazał jej wziąć się w garść. Jakże mogła uwierzyć w plotki szerzące się wśród służby?!

Skowyt znowu się powtórzył. Wyglądało na to, że jakieś małe zwierzę, kot lub królik, zostało schwyte w pułapkę, a teraz donośnym piskiem dawało znać o swym nieszczęściu.

Nie mogła tego zignorować. Usiadła na łóżku i zapaliła lampkę naftową.

Krzyk dochodził od zachodniej strony. Podeszła do okna, z którego za dnia rozciągał się piękny widok na rozległe pola i las. Ponieważ skowyt nie ustawał, otworzyła okno i wychyliła się ponad parapetem szerokim na grubość muru. W dole płynęła rzeka, której brzegi porastały drzewa i krzaki. Teraz była już pewna, że w dole, dokładnie pod jej oknem, cierpiało jakieś zwierzę.

Może zdołam je uwolnić? - zastanawiała się. Ale żeby to zrobić musiałaby zejść na dół, do lochów. Czuła jak opuszcza ją odwaga.

Lepiej poczekam z tym do rana - zdecydowała.

Tylko czy zdoła zasnąć, gdy jakieś zwierzę cierpi tak okropnie? Może należałoby powiadomić służbę? Na pewno pomogliby człowiekowi, ale wątpiła czy znajdzie się ktoś, kto zechce ulżyć w cierpieniu małemu zwierzęciu.

I już zdecydowanie wkładała na siebie niebieski, atlasowy szlafrok, który pokojówka rozłożyła na krześle. Kiedy go zapinała, jej wzrok padł na kieszeń obszytą koronką. Jeśli z któregoś okna dojrzy zwierzę w pułapce, lepiej będzie je zastrzelić niż pozwolić mu dalej cierpieć. Wiedziała od ojca, że zając, lis lub nawet pies schwytyany w okrutne sidła ma zazwyczaj złamaną nogę i poszarpane ciało. Wtedy lepiej go dobić niż przedłużać agonię. Arletta brzydziła się zabijaniem, ale przecież obojętność czasami bywa bardziej okrutna. Sięgnęła pod poduszkę, wyciągnęła rewolwer i wsunęła go do kieszeni szlafroka.

Odsunęła meble od drzwi. Nie chciała zabierać świecy ze względu na niebezpieczeństwo wzniesienia pożaru, dlatego wzięła ze sobą lampę naftową. Zeszła powoli na dół. Kiedy dotarła do korytarza, zrobiło się widniej od świateł palących się tu w srebrnych lichtarzach. Bez przeszkód dotarła do parteru i

kierując się instynktem, wybrała wąskie schody, które, jak przypuszczała, wiodły do lochów.

- Co pani robi? Dokąd pani idzie? - usłyszała nagle w trakcie schodzenia.

Przerażona odwróciła głowę. Przy wejściu stał książę.

- Co pani tu robi o tej porze? - zapytał ponownie, bo Arletta przez chwilę nie była w stanie otworzyć ust.

Wciąż miał na sobie strój wieczorowy, w którym zasiadał do obiadu, a ona była w negliżu. Jasne włosy opadały luźno na ramiona podobnie jak wtedy, gdy zobaczył ją pierwszy raz. Patrzył na nią podejrzliwie. Przemknęło jej przez głowę, że mógłby pomyśleć, iż spotyka się z kimś po kryjomu w lochach.

- Chyba jakieś zwierzę schwytano w potrzask, Wasza Książęca Mość, i piszczy z bólu. To mnie obudziło - odpowiedziała pospiesznie, wielce zażenowana.

- Zwierzę? - powtórzył.

- Tak, Wasza Książęca Mość. Jest dokładnie pod oknem mojej sypialni.

- I pani nie może spać?

- Nie mogę spać obojętnie, gdy ono tak cierpi. Arletta czuła, że nie zabrzmiało to zbyt przekonująco. Pewnie jej nie wierzy.

- Jeśli jest tak, jak pani mówi, trzeba coś z tym zrobić. Proszę pozwolić mi pomóc sobie.

Zszedł kilka stopni i wziął od niej lampę. Dalej poszedł już pierwszy, trzymając lampę wysoko, aby jak najlepiej oświetlić drogę.

Stopień po stopniu schodzili do podziemi. Skończyły się schody i znaleźli się w okrągłej sali pod wieżą. Mieli przed sobą już tylko ciężkie, żelazne drzwi, które musiały prowadzić do lochów. I wtedy niemal z ulgą usłyszała słabe krzyki, które

ją obudziły. Książę także musiał je słyszeć. Stał na środku sali, czekając aż pokona kilka ostatnich stopni.

- Dochodzą stamtąd - powiedział zwróciwszy głowę w stronę dobiegających dźwięków.

Otworzył drzwi i hałas rozbrzmiał ogłuszającym echem po kamiennych ścianach. Loch był mały i niski, trudno było w nim stać prosto. Gęsto zakratowane okienko, umieszczone tuż pod kamiennym sufitem, nawet za dnia nie wpuszczało do środka dość światła. Stamtąd właśnie dochodziły przeraźliwe piski.

Trzymając wysoko lampę, książę podszedł do okna. Do jednej z krat ktoś przywiązał zwierzę, które usiłowało się uwolnić robiąc przy tym wiele hałasu. Książę oświetlił je i zobaczyli małego, czarno - białego kota.

- Proszę potrzymać lampę, spróbuję go uwolnić - zwrócił się do Arletty.

- Wpadnie do rzeki - powiedziała szybko.

- Da sobie radę, gdy tylko odzyska wolność - uspokoił ją książę.

Wzięła więc lampę, a on próbował rozsupłać węzeł sznura, którym przywiązano nogę kota do żelaznej kraty. Zwierzę było zbyt duże, aby od wewnątrz dało się precyzyjnie przecisnąć je między kratami. Tak więc dwoje ludzi brało udział w torturowaniu nieszczęsnego stworzenia. Nie widziała twarzy księcia, ponieważ stał odwrócony plecami, ale wyczuwała, że jest bardzo rozgniewany.

To robota kogoś z zamku, pomyślała. Ciekawiło ją, czy książę dowie się, kto jest winny i jaką wymierzy mu karę.

Minęło sporo czasu, nim wreszcie wciągnął sznur do środka, a kot z przeraźliwym miauknięciem spadł na dół do rzeki albo na kamienie zamkowych fundamentów.

Książę z groźną miną odwrócił się od okna.

- Kto mógł zrobić coś tak okrutnego? - zapytała.

- Także chciałbym to wiedzieć - odpowiedział złowieszczo.

- Powiem wam, kto to zrobił - usłyszeli głos dochodzący od drzwi.

Książę wziął lampę od Arletty, aby oświetlić wejście.

Ze zdumieniem dostrzegła hrabiego Jacquesa

- Wiesz, kto torturował to nieszczęsne zwierzę? - zapytał chrapliwym głosem książę.

- Ja to zrobiłem - odpowiedział hrabia. - Ten kot był tylko przynętą. Ale co za niespodzianka! Złapały się na nią aż dwie rybki!

- Nie wiem, o czym mówisz - powiedział książę - Opowiesz mi wszystko, gdy stąd wyjdziemy.

- I tu jesteś w błędzie, mój kochany kuzynie - odpowiedział hrabia. - Nie wyjdziecie stąd nawet na chwilę. Chyba zrozumiesz, o co mi chodzi, jeśli się dowiesz, że moja ręka spoczywa na dźwigni zapadni.

Książę zamarł, Arletta struchlała. Dokładnie, jak opisał Dawid, zobaczyła wewnątrz lochu dźwignię, na której spoczywała teraz ręka hrabiego, a on sam stał na zewnątrz. Pozostało mu tylko lekko nacisnąć, a podłoga zapadnie się pod nimi i spadną do klatki na dnie rzeki, w której utoną. Aż trudno było uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. To na pewno jakiś zły sen, który zaraz się skończy.

- O czym ty mówisz, Jacques? - zapytał książę opanowanym głosem, trochę tylko przeciągając słowa.

- Myślę, że wszystko rozumiesz, mój kochany kuzynie, lub przynajmniej powinieneś zrozumieć do tej pory - odpowiedział hrabia. - Nie możesz mieć do czynienia z żadną kobietą, choćby była nie wiadomo jak piękna i atrakcyjna.

- Nie mam pojęcia, co mam przez to rozumieć - powiedział książę. - Proponuję, abyśmy opuścili to

nieprzyjemne, wilgotne miejsce i porozmawiali rozsądnie na zewnątrz.

- Zwabiłem tu tę guwernantkę - powiedział hrabia - ponieważ uznałem, że sposób, w jaki na nią patrzysz, zagraża mojej przyszłości. Zaplanowałem, że zniknie bez śladu, a wtedy nikt nie będzie szukał winnego.

- Oczywiście - zgodził się książę. - Nie ma co do tego wątpliwości.

Hrabia zaśmiał się dziko.

- Nikt nie miał pojęcia, kuzynie Etienne - szydził - że to właśnie ja zepchnąłem twoją żonę między blankami! Pozostawiłeś ją zapłakaną i tak łatwo przyszło mi się upewnić, że nie urodzi ci syna, który odsunąłby mnie od dziedziczenia.

Wstrząśnięta do głębi Arletta zaczynała powoli rozumieć, co działo się w zamku.

- Zgadza się - mówił wolno książę - byłeś bardzo bystry, Jacques, i nikt cię nie podejrzewał.

- Upewniłem się - chełpił się hrabia.

- Przypuszczam - powiedział książę głosem równie oschłym jak wtedy, gdy przyjechała - że także ty zabiłeś Madeleine Monsarrat!

- Oczywiście - odpowiedział hrabia. - To było proste, ponieważ ona ciągle piła kawę, więc wlałem do jej filiżanki zbyt dużą dawkę laudanum. Biedny kuzynie Etienne, naprawdę niesprawiedliwie cię oskarżono.

- Dziwię się tylko, że mnie tak długo dałeś spokój - zauważył książę.

- Trochę się martwiłem, bo w przypadku twojego nagłego zniknięcia, ktoś mógłby zwrócić czyjaś uwagę na to, że ja jestem następnym księciem - powiedział hrabia. - Ale teraz ty i ta rozkoszna angielska nauczycielczka znikniecie, a ja rozpuszczę pogłoskę, że uciekliście razem. Nie będzie innego wytłumaczenia.

- Jak pan może myśleć o czymś tak nikczemnym, tak... wstrętnym? - krzyknęła Arletta.

- Pani sama jest sobie winna! Usiłowałem odciągnąć panią od księcia. Należało skorzystać z mojego zaproszenia do Paryża - zwrócił się do niej.

- Czy uważa pan, że choćby przez chwilę rozważałam tę nikczemną propozycję? - zapytała wyniośle Arletta.

- A dlaczego nie? - zapytał hrabia. - Dobrze byśmy się razem bawili, a ja nie musiałbym się martwić, iż mój kuzyn zakocha się w pani, jak kiedyś w hrabinie Madeleine Monsarrat.

- Ale nie chce... pan chyba... popełnić tak nikczemnej zbrodni i... zabić nas!

Mówiła błagalnym, drżącym głosem i widać było, jak bardzo jest przerażona.

- Słyszałem, że śmierć przez utonięcie jest bardzo przyjemna - odpowiedział hrabia - i chociaż przykro mi utracić towarzystwo mojego zachwycającego, czarującego kuzyna, wyrównam tę stratę, będąc najbardziej wzorowym i pełnym wigoru księciem!

Popatrzył na Arlettę. Wiedziała, że to tylko kwestia sekund, gdy pociągnie za dźwignię.

- Posłuchaj mnie, Jacques - rzekł cierpko książę - mam pewną propozycję.

- A mianowicie?

- Utop mnie, jeśli chcesz - powiedział - ale oszczędź pannę Turner. Ona nie ma nic wspólnego z naszymi problemami ani sukcesją po księciach de Sauterre, bo jest Angielką. Pozwól jej odjechać do ojczyzny i zapomnij, że kiedykolwiek była zamieszana w tę sprawę.

- Cóż za szlachetność! - zadrwił, śmiejąc się oschle hrabia. - Ale ja nie jestem taki głupi, mój drogi kuzynie. Która kobieta umiałaby trzymać język za zębami w podobnych

okolicznościach? Nie możesz nic zrobić! Przegrałeś, a ja jestem zwycięzcą!

Ostatnie słowo mocniej zadźwięczało w uszach Arletty. Przypomniała sobie przepowiednię - to ona ma odnieść zwycięstwo. Wsunęła prawą rękę do kieszeni szlafroka i chwyciła rękojeść małego wysadzanego kosztownościami rewolweru.

- Żegnaj, kuzynie Etienne - mówił triumfująco hrabia - przykro mi, ale nie ma czasu, abyś się pomodlił!

Zanim skończył ostatnie słowo, Arletta wyciągnęła rewolwer i strzeliła do niego. Głośny huk rozbrzmiał ogłuszającym echem w małym lochu.

Hrabia oderwał rękę od dźwigni, łapiąc się za ramię, w którym utkwiała kula. Księżę podbiegł do niego i wymierzył mu cios pięścią w brodę. Nieprzytomny hrabia powoli osunął się na podłogę. Wtedy poprzez luźno opadającą wieczorową marynarkę Arletta zobaczyła plamę szkarłatnej krwi na białej koszuli.

Księżę odwrócił się, podał Arletcie rękę i wyciągnął ją z ponurego lochu. Dopiero teraz uświadomiła sobie, co zaszło i ukryła twarz na ramieniu księcia. Odstawił lampę i objął ją.

- Już w porządku - powiedział łagodnie. - Już dobrze. Uratowała pani nas oboje.

- Czy... ja... go... zabiłam? - zapytała zdenerwowana.

- Nie, on żyje - odpowiedział księżę. - Później będę z nim miał do pomówienia.

Podtrzymując ją jedną ręką, podprowadził do drzwi, zamknął je i zarygłował, zostawiając w środku hrabiego.

- Muszę nieść lampę. Czy zdoła pani sama wejść po schodach na górę?

- Nic... mi nie jest.

Idąc obok siebie, weszli na górę. W korytarzu księżę odstawił lampę na stolik, a widząc, że Arletta jest bliska

omdlenia wziął ją na ręce. Chciała zaprotestować, powiedzieć, że może iść sama, ale głos uwiązł jej w gardle. Pochyliła głowę na jego ramię i zaczęła płakać. Nie patrzyła ani nie zastanawiała się, dokąd idą.

Dopiero gdy się zatrzymał i postawił ją na podłodze, wciąż czule obejmując podniosła głowę.

- Już w porządku, ma chérie - powiedział bardzo łagodnie. - Oboje jesteśmy cali i zdrowi. Przyrzekam, że podobna sytuacja nigdy więcej nie będzie miała miejsca.

Głęboki ton jego głosu i pieszczotliwie wypowiedane słowa, kołysły jak chłodna ręka na rozpalonym czole. Powstrzymała łzy i zażenowana uniosła twarz. Przytulił ją jeszcze mocniej i wtedy poczuła bicie jego serca. Pochylił się, całując jej usta.

Rozdział 7

Przez chwilę Arletta czuła jedynie dotyk jego szorstkich warg. Książę tulił ją do siebie i obsypywał pocałunkami miękkie, drżące usta. To był jej pierwszy pocałunek. Nie spodziewała się, że będzie tak przyjemny, odzwierciedlający jej najskrytsze marzenia, najcudowniejsze sny.

Czuła się tak, jakby dusza oddzieliła się od ciała i poszybowała ku niebiosom otoczona rozśpiewanymi aniołami. Tymczasem ciało pozostawione na ziemi drżało w radosnym uniesieniu, którego nie sposób opisać. Zaczęła się właśnie modlić, aby ten pocałunek trwał wiecznie, gdy nagle książę uniósł głowę.

Popatrzył na nią, na jej oczy skąpane we łzach, ale przecież promieniejące niewiarygodnym blaskiem. Ich oczy spotkały się. Po chwili książę znowu zapragnął jej ust, lecz Arletta zamruczała tylko cichutko i wtuliła twarz w jego szyję. Wtedy całował pieszczotliwie jej włosy.

- Powinnaś pójść do łóżka, moja kochana - odezwał się po chwili - a ja zajmę się tym nikczemnikiem, który zamierzał nas zabić.

- Jak... mógł... wyrządzić... panu tyle... krzywd? - wyszeptała niewyraźnie.

- Martwisz się o mnie? - zapytał książę.

- Musiałam... pana uratować.

- I zrobiłaś to bardzo skutecznie.

Zachwiała się, więc znowu wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni.

Na toaletce po obu stronach lustra paliły się świece. Książę ułożył łagodnie Arlette na pościeli. Kiedy na nią popatrzył, uniosła ręce i ze strachem w oczach poprosiła:

- Proszę... niech pan... nie zostawia mnie... tu... samej.

- Muszę - odpowiedział. - Nic ci tu nie grozi.

- Czy... wróci pan i powie mi... jeśli hrabia nie żyje? - wyjąkała. - A jeśli... umrze... czy będę musiała stanąć przed... sądem? - zapytała z płaczem.

Książę usiadł przy niej na łóżku i wziął ją za rękę.

- Nie będzie żadnego procesu! - powiedział. - Jacques żyje, chociaż nie uważam, że należy się z tego cieszyć. Tak czy owak zajmę się nim i spróbuję odpłacić za wszystkie krzywdy, jakie wyrządził - powiedział stanowczo.

- Czy jest pan... pewien... że gdy tam pójdzie... on nie będzie usiłował... pana zabić?

- A czy ma to dla ciebie jakieś znaczenie? - zapytał. Popatrzyła na niego zdziwiona i rumieniec pokrył jej twarz. Książę pomyślał, że to najpiękniejsze zjawisko, jakie widział w życiu.

- Nie musisz odpowiadać, ma belle - powiedział. - Kochasz mnie, tak jak ja kocham ciebie, ale porozmawiamy o tym później. Schylił się i pocałował ją w czoło. - Musisz teraz odpocząć - dodał. - Pójdę już, ale przyrzekam, że wrócę, aby ci wszystko opowiedzieć.

Nie mogła oderwać od niego oczu, gdy wychodził z sypialni zamykając za sobą drzwi. Potem przysłuchiwała się jeszcze jego krokom, dopóki nie ucichły na schodach.

Zamknęła oczy. Czy to był sen? Przecież wciąż czuła jego gorący pocałunek na ustach.

Gdy pierwsza blada poświata porannego brzasku rozświetliła niebo, książę leciutko zapukał do drzwi i wszedł do pokoju Arletty. Nie spała, modląc się żarliwie, aby teraz, gdy hrabia i jego nikczemne plotki zostały zdemaskowane, w zamku nie było już nigdy podejrzliwych szeptów ani pomówień. To one zatruwały atmosferę i psuły wszystkim nastroj, nie pomijając dzieci.

Teraz książę może być wreszcie szczęśliwy - myślała. Z bólem serca wyobraziła sobie dzień, w którym skończy uczyć

Dawida i nie będzie powodu, aby dłużej została w zamku. Książęta otoczą piękne kobiety, jedna z nich zostanie jego żoną i nikt nie przeszkodzi im w małżeństwie. A ona? - Cóż, pocałował ją z wdzięczności, zresztą na pewno całował wiele kobiet. Tylko że ten jeden, pierwszy pocałunek przesłonił jej cały świat.

- Kocham... go - przyznała w końcu.

Od początku intrygował ją ten wspaniały, wyjątkowy człowiek, choć jednocześnie wyzywający i nieszczęśliwy,

Pomogłam rozwiać fałszywe domysły dotyczące jego osoby, pomyślała, i uratowałam mu życie. A teraz nie jestem mu więcej potrzebna.

Chciała zachować rozsądek i spokój, lecz wciąż widziała siebie w jego ramionach i czuła przenikające dreszcze na wspomnienie tego pocałunku. Przypominała sobie uniesienie tej pięknej chwili, ekstazę i błogość, o które modliła się do Boga. Nigdy nie zapomni tych przeżyć, ale też nigdy więcej ich nie doświadczy, żyjąc u boku innego mężczyzny.

Patrzyła na księcia blada i zmartwiona. Wyglądał wspaniale i tak elegancko w wieczorowym stroju, jakby przed chwilą wyszedł z wytwornej, proszonej kolacji. Patrzył z uśmiechem na jej zatroskaną twarz. W świetle świec wydawał jej się szczęśliwy i nieco młodszy.

- Wciąż nie śpisz? - zapytał, podchodząc do jej łóżka.

Arletta bez zastanowienia wyciągnęła do niego rękę.

- Czy... nic się panu nie stało? Czy on... pana nie zranił?

Książę uśmiechnął się i usiadł na skraju łóżka. Ujął jej rękę i całował je na przemian. Każdy jego pocałunek przyprawiał ją o dreszcze, które jak ogień przenikały całe ciało.

- Moja ukochana, mam ci tak wiele do powiedzenia. I jest to o wiele ważniejsze niż to, co się dzisiaj wydarzyło.

- Muszę... wiedzieć.

Westchnął i nie puszczając jej rąk powiedział:

- Zabrałem ze sobą Byiena i majordomusa do lochów, gdzie zostawiliśmy Jacquesa.

- Czy on... żyje?

- Tak - odpowiedział książę - i bardzo złorzeczy; dziwię się, iż nie dostrzegłem wcześniej u niego żadnych oznak szaleństwa.

- Też się bałam, że pomieszało mu się w głowie.

- Jest to wyjątkowo łagodne określenie jego stanu.

- Co pan z nim... zrobił?

- Zabrałem go do szpitala, który należy do naszego rodzinnego lekarza. Tam usuną mu kulę z ramienia, a jutro postanowię co dalej. Na pewno stamtąd nie ucieknie.

- Czy nie będzie... procesu? - zapytała drżącym głosem.

- Nie mogę pozwolić, abyś była zamieszana w coś takiego. Poza tym nie życzę sobie żadnego skandalu w mojej rodzinie. Jacques będzie potraktowany dużo lepiej niż na to zasługuje.

- Co... ma... pan... na myśli?

- Mam zamiar wysłać go do rodzinnego majątku w koloniach francuskich w Afryce. Tam będzie pracował na farmie aż do śmierci. Jeśli zaś wróci do Francji, natychmiast stanie przed sądem - dodał twardo książę.

- Jest pan dla niego bardzo... dobry.

- Na pewno dużo lepszy niż on był dla nas.

- Nie domyślał się pan, że miał obsesję na punkcie przejęcia sukcesji?

- Nigdy bym nie pomyślał, że Jacques zabił moją żonę - odpowiedział książę - chociaż wiedziałem, że rozsiewał fałszywe pogłoski. Ludzie myśleli, że ja ją zabiłem, bo się kłóciliśmy.

Książę zamilkł, a Arletta nie mogąc znieść myśli o tym, ile wycierpiał z powodu plotek uścisnęła jego rękę.

- Domyśliłem się wszystkiego - kontynuował książę - kiedy moja przyjaciółka Madeleine Monsarrat umarła z przedawkowania laudanum.

Znowu zamilkł.

- Czy... bardzo... pan ją... kochał? - zapytała cichutko Arletta.

- Kochałem ją całym sercem - przyznał książę. - Myślałem, że będzie doskonałą żoną i urodzi mi dzieci, których pragnąłem.

Jeszcze raz Arletta poczuła, jakby ostry nóż przebił jej serce, ale nie odezwała się.

- A kiedy - ciągnął książę - uświadomiłem sobie wreszcie, że Jacques robi wszystko, żeby ludzie mnie nienawidzili i aby się mnie bali, nie umiałem go powstrzymać.

- Czy rozmawiał pan z nim na ten temat?

- Po co? - zapytał. - Z pewnością nie przyznałby się do rozsiewania plotek. Poza tym byłem zbyt dumny i nie chciałem klócić się ani prosić o coś człowieka, którym pogardzałem.

- Rozumiem.

Pomyślała, że właśnie duma księcia była powodem jego sarkastycznego tonu i lekceważącej postawy. Honor nie pozwalał tłumaczyć przed ludźmi pomówień niegodziwego kuzyna.

- A potem ty przyjechałaś - powiedział książę cicho - i bardzo się bałem.

- Pan się bał?

Nigdy nie przypuszczała, że książę, mówiąc o sobie, mógłby użyć tego słowa.

- Zakochałem się w tobie - wyznał z czułym uśmiechem - moja ponętna, fascynująca, maleńka guwernantko, gdy tylko zobaczyłem cię tańczącą pod żyrandolem w sali balowej. I muszę przyznać, że masz znakomitą figurę - dodał znacząco.

Arletta spłoneęła rumieńcem, lecz była zbyt nieśmiała, by spojrzeć mu w oczy.

- Był pan bardzo... zaskoczony? - zapytała.

- Byłem zaintrygowany, ale też czułem, że znalazłem to, czego szukałem przez całe życie.

- Skąd mógł pan to... wiedzieć?

- Nie tylko ty, moja śliczna, jesteś spostrzegawcza. Zdałem sobie również sprawę, że Jacques nas obserwuje i chociaż nie mogłem uwierzyć, żeby chciał cię uśmiercić, jak dwie inne kobiety w moim życiu, przeraźliwie się bałem - westchnął ciężko. - Żałowałem, że nie odesłałem cię z powrotem do Anglii.

- Tak się bałam, że pan to zrobi po naszym pierwszym spotkaniu w sali balowej. Ale chciałam... tu zostać, pragnęłam tego całym sercem - wykrzyknęła Arletta

- Więc zostałaś - powiedział książę - choć mogło dojść do wielkiej tragedii, której przyczyny nikt nigdy by nie poznał.

- Teraz jesteśmy bezpieczni - powiedziała Arletta. - Ale proszę mi obiecać, że hrabia nie zdoła uciec i spróbować... nas zabić... jeszcze raz.

- Przysięgam, że nigdy się to nie stanie - zareczył książę. - A teraz, moja kochana, mogę wreszcie poprosić cię, abyś została moją żoną.

Arletta popatrzyła zaskoczona.

- Czy powiedział pan, że chce... mnie poślubić?

- Kocham cię tak, jak nigdy przedtem nikogo nie kochałem - powiedział książę. - I domyślam się, że ty mnie także kochasz. A ponieważ nie zamierzam ryzykować utracenia ciebie, tak jak mogło się to zdarzyć ostatniej nocy, postanowiłem poślubić cię natychmiast. W ten sposób będę mógł opiekować się tobą dużo lepiej, niż robiłem to do tej pory.

Jej oczy zajaśniały niewiarygodnym blaskiem. Czy na pewno właściwie zrozumiała jego słowa?

- Nie może pan... to nie jest właściwe... nawet pan nie wie... kim jestem - wyjąkała.

Książę zaśmiał się wesoło.

- Wystarczy, że cię kocham. Jesteś dziewczyną moich marzeń. Zagościłaś już na dobre w moim sercu i duszy, jeśli w ogóle takową posiadam!

- Ale ja nie jestem... Jane Turner!

- Domyślam się.

- Naprawdę? Ale... dlaczego?!

- Dlatego, moja śliczna, że gdy lady Langley przekonywała mnie, abym wynajął guwernantkę dla Dawida, powiedziała: „Jeśli się pan martwi, że obecność panny Turner wywoła zamieszanie w zamku, to zapewniam pana, iż jest ona bardzo rozsądną, młodą kobietą, ma dwadzieścia osiem lat i jest raczej brzydka. Żaden mężczyzna tu na nią nie spojrzy, ale jest bardzo miła i kompetentna”.

Książę znowu się uśmiechnął.

- Tylko dwa ostatnie określenia do ciebie pasują.

- Więc pan... wiedział od samego początku, że nie jestem Jane!

- Przede wszystkim, nawet w najśmielszych wyobrażeniach nie możesz mieć dwudziestu ośmiu lat - powiedział książę. - Ile ich masz?

- Dwadzieścia.

- A jak się nazywasz?

- Arletta. To jest prawdziwe imię. Wymknęło mi się przez pomyłkę wtedy, w sali balowej.

- Tego też się domyśliłem - powiedział. - I chociaż nie robi mi to żadnej różnicy, kim jesteś, muszę znać resztę twojego nazwiska, zanim wypełnię formularze niezbędne do zawarcia małżeństwa.

- Nazywam się Cherrington - Weir - oznajmiła Arletta nieśmiało. - Mój ojciec, który umarł kilka tygodni temu, był szóstym hrabią Weir. - Nie czekając na komentarze księcia mówiła dalej: - Może zaciekawia pana fakt, że moja babka ze strony matki była hrabiną de Falaise, pochodziła z Normandii, a ja dostałam po niej imię.

Popatrzyła na niego trochę bojaźliwie.

- Nie może być! - wykrzyknął książę. - Rodzina de Falaise jest bezpośrednio spokrewniona z moją rodziną.

- Jakże szczęśliwa byłaby teraz moja ukochana babcia! - zachwyciła się Arletta.

- Moja także się ucieszy.

- Gdybym naprawdę była Jane Turner - rzekła Arletta - byłaby raczej zaszokowana mezaliansem. Już na samym początku powiedziała, że uważa, iż przyjechałam tu tylko po to, by się za pana wydać!

- I udało ci się - uśmiechnął się lekko. - A mówiąc poważnie, babcia będzie ci bardzo wdzięczna za ocalenie mi życia i wszystko inne nie będzie miało dla niej znaczenia. Zaakceptuje cię, moja kochana, całym sercem.

- Czy ja naprawdę mogę... być twoją żoną?

- Bardzo tego pragnę - powiedział książę - i chociaż muszę cię jeszcze wiele nauczyć, moja śliczna, maleńka dwudziestolatko, jest wiele rzeczy, których ty będziesz mogła nauczyć mnie.

Wyglądała na zaskoczoną.

- Przecież zdążyłaś już udzielić mi kilku wykładów - wyjaśnił. - A teraz, tak jak sobie marzyłaś, będziesz mogła wypełnić ten zamek miłością.

Arletta westchnęła głęboko.

- Czy naprawdę... chcesz ożenić się ze mną, skoro tak bardzo nienawidzisz Anglików?

Nie patrzyła na niego, zbyt onieśmielona tym pytaniem. Przeraziła się, ponieważ nagle cofnął rękę.

- Spodziewałem się, że o to zapytasz. Mam ci wiele do wyjaśnienia, ale wpierw pozwól, że poruszę jeszcze jedną kwestię.

- Proszę bardzo - odpowiedziała Arletta. - Powiedz, czy czujesz podobnie jak ja, że nic nie jest ważniejsze od miłości, która narodziła się między nami i jest tak niepowtarzalna? Narodowość, rodzina, pozycja społeczna, tytuły, pieniądze, czy cokolwiek może się równać z tym, co czułaś podczas naszego pocałunku? Dla mnie było to zupełnie nowe, emocjonalnie doświadczenie.

- Czy to... prawda?

- Wiesz dobrze, że to prawda - powiedział książę. - Wielbię cię, Arletto, i szanuję, ponieważ masz w sobie wszystko, czego potrzebuję.

Mówił bardzo uroczyście, a każde słowo było jak radosna pieszczota. Arletta uniosła ręce i przyciągnęła do siebie jego głowę. Ich usta złączył pocałunek, który znowu przeniósł ich do krainy magii, dał im pełnię miłosnego uniesienia i zachwyty. Ach, jakże pragnęła, aby trwał wiecznie! Ale on rozmyślnie odsunął głowę.

- Nie kuś mnie, ma belle - ostudził jej zapały - dopóki nie jesteśmy małżeństwem. Po ślubie nauczę cię miłości. Teraz mogłabyś czuć się winna, że robisz coś niewłaściwego, czego na pewno nie pochwaliby twoja matka ani babcia.

- Opiekujesz się mną i... chronisz.

- I tak już będzie zawsze - powiedział książę. - A teraz, zanim ci powiem, dlaczego nienawidziłem Anglików, muszę jeszcze coś wyznać.

- Cóż to... takiego? - zapytała niespokojnie. - Je t'aime! Nie chcę powtarzać tego zbyt często, ale powiem to też w twoim ojczystym języku - kocham cię!

- Mówisz po angielsku? - zapytała zdumiona.

- Prawie tak dobrze, jak ty po francusku. - Naprawdę? Aż trudno uwierzyć!

- Pozwól, że wszystko ci teraz wyjaśnię - powiedział. - Kiedy miałem dziesięć lat umarła mi matka. Dwa lata później ojciec poślubił angielską kobietę.

- Angielkę! - Arletta nie ukrywała zdumienia. - Powinienem być raczej powiedzieć, że to ona jego poślubiła - kontynuował książę ponuro. - Był człowiekiem chorym na ciele i duszy, bo utracił żonę, którą kochał, a tamta użyła podstępny, aby za niego wyjść.

- Tak mi... przykro - Arletta rozumiała jego ból.

- Chciała - ciągnął książę - nie tylko zostać księżną de Sauterre, lecz także urodzić syna, żeby mnie odsunąć od dziedziczenia tytułu. Nie było to możliwe z powodu złego stanu zdrowia mojego ojca. Macocha swą złość wyładowywała na mnie, przez co cierpiałem prawdziwe piekło na ziemi. Byłem wtedy małym, raczej nadwrażliwym chłopcem, którego poddała psychicznym torturom. Nienawidziłem jej, podobnie zresztą jak wszyscy w zamku, razem z moją babcią.

- Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział? - zapytała Arletta.

- Miałem wtedy osiemnaście lat - ciągnął książę. - Tuż przed śmiercią ojca i moim dziedziczeniem tytułu, macocha jadąc konno, uległa śmiertelnemu wypadkowi. Jej śmierć sprawiła wszystkim ulgę i zwróciła wolność, dlatego uzgodniliśmy, że jej imię zostanie wymazane z pamięci tych, którzy ją znali i widzieli, jak niegodziwie mnie traktowała.

- Bardzo mi przykro...

- Dlatego byłem przeciwny małżeństwu mojej siostry z Anglikiem. Obawiałem się, że znowu będziemy cierpieć z powodu jego okrucieństwa czy też zwykłej niechęci. -

Uśmiechnął się lekko, - W rzeczywistości Gerald był bardzo spokojnym, skromnym człowiekiem. Ale występki mojej macochy zbyt głęboko wryły mi się w pamięć, abym o wszystkim zapomniał i wybaczył.

- Teraz... już rozumiem - szepnęła Arletta.

- Wiedziałem, że zrozumiesz - powiedział książę.

- Przyznaję, że nie powinienem nastawiać Dawida przeciw jego angielskim rodakom, ani przeciwko szkole, w której uczył się jego ojciec.

Książę był bardzo dumnym człowiekiem, mimo to umiał przyznać się do błędu. Arletta doceniła jego pełne skruchy słowa.

- Naprawiłeś już to wszystko - powiedziała czule.

- Czy mogłabym jakoś pomóc ci zapomnieć o twoich cierpieniach?

Nagle popatrzyła na niego zaniepokojona.

- A jeśli w naszej miłości jest jakiś cień, który po latach zmieni twą miłość w... nienawiść?

Książę zaśmiał się.

- Czy naprawdę myślisz, kochanie, że mógłbym cię znienawidzić? - zapytał po angielsku. - Już mówiłem, że cię kocham i szanuję. Wiem, że wychowaliśmy się w dwóch różnych kulturach i tradycjach, ale nasze dalsze, wspólne życie musi stać się kwintesencją tego, co w nich najlepsze i najmądrzejsze.

- Tak właśnie... uważam - powiedziała Arletta - i uczynię wszystko, abyś był szczęśliwy.

- Wystarczy, jeśli będziesz mnie kochać - powiedział książę uroczyście. - Tęskniłem za miłością od śmierci mojej matki i bardzo jej potrzebuję dla siebie, a pewnego dnia... dla moich dzieci.

- Dam ci dzieci... przysięgam, że ci je dam - obiecała uszczęśliwiona.

Wyciągnęła rękę, a księżę znowu je ucałował. Robił to z czcią i namaszczeniem, jakby obcował ze świętością. Gdy uniósł głowę, pierwsze promienie słońca przedzierały się już przez wschodnie okno, zalewając pokój złocistym blaskiem.

- Pójdę już - powiedział - spróbuj zasnąć. Śnij o mnie i zapomnij o nieprzyjemnych wydarzeniach dzisiejszej nocy, niech pójda w niepamięć.

- Czy będziesz tu rano? - zapytała Arletta. - Czy nie jesteś tylko cudownym snem?

- Będę - odpowiedział księżę - jutro, pojutrze i przez całe nasze życie.

Ucałował jej dłoń, po czym podniósł się, zdmuchnął świece i poszedł w kierunku drzwi.

- Dobranoc, moja przyszła żono. Kocham cię! - dodał jeszcze po angielsku.

Wyszedł. Arletta poczuła łzy szczęścia spływające po policzkach.

Maleńki kościółek przystrojono białymi liliami. Wewnątrz byli tylko państwo młodzi i pan Byien, który sprawował obowiązki drużby księcia.

Wiejski ksiądz celebrował uroczystość razem z dwoma ministrantami. Arletta miała wrażenie, że w nawach kościoła zasiadły dusze przodków księcia, którzy kiedyś mieszkali w zamku i tu się modlili. Zostawili po sobie pacierze i wielką wiarę, dające kościołowi niepowtarzalny nastrój.

Arletta poprosiła księcia, aby zapalono wszystkie świece przed figurą Joanny d'Arc.

- Zapaliłam jedną, kiedy przyszedłam tu pierwszy raz. Modliłam się wtedy, żeby święta pomogła przezwyciężyć wzajemną wrogość i ponurą atmosferę w zamku - wyjaśniła. - W pewnym sensie modliłam się też za ciebie - dodała.

- Jeśli tak, to okazemy świętej wdzięczność - uśmiechnął się księżę.

Tego dnia, rano, z najbliższego miasteczka przybył do zamku burmistrz i udzielił im ślubu zgodnie z wymogami francuskiego prawa. Po jego wyjeździe państwo młodzi poszli do starego kościoła.

Książę ogłosił wcześniej, że Arletta jest w żałobie i dlatego nie będzie żadnych gości podczas ślubu. Młoda para chce go przyjąć w spokoju i samotności. Potem jednak dodał, że służba zamkowa i ludzie z wioski mogą przyjść na poczęstunek do zamku.

Zarządzenia te były trochę dziwne, ale wieśniacy pozostali posłuszni woli swojego księcia, tym bardziej że Dawid i Paulina także czekali na zewnątrz, aby obsypać młodych płatkami róż. Wieśniacy za przykładem dzieci nazbierali kwiatowych płatków w swoich ogrodach.

Kiedy Arletta i książę przekroczyli wspaniałe, łukowate drzwi kościoła, posypały się na ich głowy pachnące płatki róż, znacząc w ten sposób całą drogę do zamku.

- Różana ścieżka - szepnęła Arletta z radością.
- Takie właśnie będzie nasze wspólne życie - odparł książę.

Arletta już od rana czuła się jak w świecie baśni, a miłość w oczach księcia i czułość jego słów pogłębiały to odczucie.

Po owej dramatycznej nocy spała aż do lunchu. O pierwszej po południu zjawiała się ochmistrzyni, która przyniosła jej posiłek do łóżka.

- Książę każe, aby pozostała pani w łóżku i dobrze wypoczęła!

- Ale... jest tak późno! - zaprotestowała Arletta. - Nie chciałam spać tak długo!

- Nie ma się czemu dziwić, proszę pani - powiedziała znacząco ochmistrzyni. - Ostatniej nocy miała pani koszmarne przeżycia; to prawdziwy szok dla organizmu.

Arletta czuła, że wszyscy w zamku już wiedzą, co się wydarzyło. Książę przezornie polecił jej pozostać w swoim pokoju. Gdyby tylko zeszła na dół, musiałaby odpowiadać na wiele dociekliwych pytań. Postąpiła więc według jego woli.

Dopiero o piątej, jak prosił, ubrała się i pobiegła do jego gabinetu, gdzie na nią czekał.

Weszła do środka i przez chwilę po prostu stała przy drzwiach. Kiedy wyciągnął ku niej ramiona, podbiegła i... świat zawirował. Nie potrzebowała niczego więcej. Usiedli i bardzo długo rozmawiali.

- Myślę, że znowu powinnaś pójść do łóżka, kochanie - powiedział książę na koniec. - Każda kobieta na twoim miejscu byłaby wyczerpana. Poza tym mam jeszcze wiele rzeczy do załatwienia, a nie zrobię tego, gdy jesteś przy mnie.

- Nie chcesz mnie? - droczyła się Arletta.

- Jutro będziemy już małżeństwem i wtedy ci na to odpowiem.

- Jutro?

- Mówiłem ci już, że nie zamierzam odkładać daty naszego ślubu. Dopiero gdy będziesz moją żoną przestanę się bać, że cię utracę.

Nawiązywał do wydarzeń ostatniej nocy. Przypomniała sobie, jak błagał hrabiego, aby ten darował jej życie. Czy zachowałby się tak, gdyby jej nie kochał? Postanowiła zawsze być posłuszną jego woli, żeby nie było między nimi konfliktów. Z uśmiechem poszła do sypialni, jak jej przykazał. Zadumana nad przyszłością i drżąca od jego pocałunków, położyła się do łóżka. Wciąż wracała myślami do ich ostatniej rozmowy.

- Jutro bierzemy ślub - powiedział książę - a następnego dnia wyjeżdżamy do mojej willi na południu Francji, gdzie nikt nam nie będzie przeszkadzał. Wtedy opowiem ci o mojej miłości.

- Bardzo... tego pragnę - powiedziała Arletta z lekkim drżeniem w głosie - ale... co będzie z Dawidem?

Księżę uśmiechnął się.

- Spodziewałem się, że o to zapytasz. Nie zapomniałem o nim. Do zamku przyjedzie rodowity Anglik, który studiuje francuski na uniwersytecie w Limoges. Będzie uczył Dawida podczas naszej nieobecności, i potem, jeśli się zgodzisz. Nawiasem mówiąc ma bzika na punkcie krykieta, więc zasugerowałem, aby utworzył drużynę spośród lokajów i innych mężczyzn w majątku.

- Jestem taka... szczęśliwa, że pomyślałeś o wszystkim! - nie posiadała się z radości Arletta.

Myślę przede wszystkim o tobie - odpowiedział księżę.

Wiedziała, że to prawda.

Przekonała się o tym następnego poranka. W pokoju ujrzała przygotowaną suknię ślubną, którą podczas własnego ślubu miała na sobie matka księcia. Na Arletcie leżała znakomicie, tylko w talii była trochę za luźna. Uszyta z białego atlasu, z obfitym dołem i koronkowym kołnierzem opadającym na ramiona, ozdobiona mnóstwem pereł i małych diamentów - wyglądała przepięknie.

Wytworny welon z brukselskiej koronki, od wieków należał do księżnych de Sauterre, a kiedy przymierzyła jeszcze diamentowy diadem, wyglądała jak księżniczka z bajki, którą wyobraziła sobie przestępując pierwszy raz bramy zamku.

Wyszła ostatni raz z pokoju na wieży. Następną i kolejne noce spędzi w sypialni, którą od wieków zajmowały księżne de Sauterre. Na dole zobaczyła bukiet białych orchidei, który miała nieść do ślubu.

Księżę w tradycyjnym, eleganckim fraku wyglądał imponująco. Białą koszulę przecinała poprzecznie biegnąca wstęga, a jedwabną klapę zdobiły przybrane klejnotami ordery.

Arletta oniemiała z podziwu.

- Wyglądasz dokładnie tak, jak sobie wymarzyłem - powiedział, całując jej dłoń. - Jak święta, która zamieszkuje świątynię mojego serca.

Po ceremonii udali się na górę, aby odwiedzić księżną. Staruszka, chcąc uczcić zaślubiny wnuka, włożyła na siebie więcej biżuterii, niż kiedykolwiek przedtem. Państwo młodzi ucałowali ją serdecznie.

- Widzisz? Miałam rację! Wiedziałam, że przyjechałaś tu, aby usidlić mojego wnuka! - zwróciła się księżna do Arletty.

- Czyli zrobić to, czego ja sam bardzo pragnę - uśmiechnął się książę.

Księżna zaśmiała się.

- Muszę podziękować ci nie tylko za uratowanie życia mojemu wnukowi. Jestem ci wdzięczna także za to, że uchroniłaś mnie od widoku tego nikczemnika zasiadającego na miejscu księcia.

- Nie powinnaś mówić o tym teraz! - wtrącił książę.

- Jeszcze nie skończyłam, Etienne - skarciła go księżna. - Chcę, żebyś wiedziała, Arletto, że nigdy w tym zamku nie było równie dobrej i pięknej dziewczyny jak ty, i wszyscy bardzo cię kochamy!

Łzy wzruszenia napłynęły do oczu Arletty.

Kiedy księżna wypięła ich zdrowie, ucałowali ją jeszcze raz i wyszli. Leciwa pokojówka czekała na zewnątrz.

- Madame jest dziś bardzo szczęśliwa, Wasza Księżęca Mość - zwróciła się do księcia. - Nigdy jeszcze nie była tak przejęta i zadowolona.

- To dokładnie tak jak ja - odrzekł książę.

Zeszli na dół, żeby wziąć udział w przyjęciu weselnym przygotowanym dla obsługi zamku, mieszkańców i robotników z majątku. Ogromny pokój, w którym jeszcze w średniowieczu odbywały się wspaniałe uczy, udekorowano

kwiatami i flagami. Kucharze spędzili całą noc na przygotowaniach, dlatego długie stoły na kozłach uginały się wprost od wyszukanych potraw. Dla każdego starczyło wina i cydru domowej roboty.

Arletta patrzyła z przyjemnością na dzieci. Dawid był szczególnie podekscytowany, ponieważ księżę powierzył mu obowiązki gospodarza na czas swojej nieobecności. Chłopiec siedział podniecony w odległym końcu jednego z długich stołów, a Paulina usiadła po przeciwnej stronie.

Księżę wygłosił mowę, w której podziękował za gratulacje i dobre życzenia. Powiedział, że nastąpiła nowa, szczęśliwa era dla mieszkańców zamku, a ciężkie czasy ostatnich lat powinny pójść w niepamięć.

Potem państwo młodzi opuścili przyjęcie i udali się na lunch, który przygotowano tylko dla nich w jednym z mniejszych pokoi. Arletta nie miała pojęcia, co je i pije. Dookoła krzątała się służba, ale ona widziała tylko wpatrzone w siebie, rozmiłowane oczy księcia.

Wreszcie zostali sami. Poprowadził ją długim korytarzem, na końcu którego znajdowała się jego sypialnia - a dalej sypialnia księżnej de Sauterre, którą teraz miała zająć Arletta. Nigdy przedtem nie widziała równie pięknych pomieszczeń.

Jej sypialnię udekorowano białymi kwiatami, które świetnie kontrastowały z bladoniebieskim brokatem ścian/stanowiącym doskonałe tło dla kolorowych obrazów Fragonarda, które stosownie przedstawiały kochanków i Kupidyny. Stało tu też ogromne łóżko z baldachimem, ozdobione rzeźbionymi amorkami, które pod sklepieniem otaczały Wenus wynurzającą się z piany.

- Ależ tu jest pięknie, jak w bajce. Tylko czy będę się tu czuć jak realna istota? - zapytała Arletta trochę zaleknionym głosem.

- Obejrzyj teraz moją sypialnię. - zaproponował księżę.

Otworzył drzwi łączące obie pokoje. Sypialnia księcia była dużo większa i choć zdobiona równie bogato, zachowała zdecydowanie męski charakter. Zastony przy łożu uszyto z czerwonego aksamitu, a wezgłowie ozdobił herb rodzinny. Zadziwiła ją moc kwiatów, lilii i orchidei, których było równie dużo, jak w jej pokoju.

Książę tymczasem zamknął drzwi i zbliżył się do niej. Zdjął z jej głowy diadem, potem odpiął koronkowy welon. Czekwała, akceptując jego poczynania i bardzo pragnęła, by ją pocałował. Ale on najpierw wyjmował spinki z jej włosów, które spłynęły na ramiona miękkimi falami.

- Wyglądasz teraz jak wtedy, gdy widziałem cię pierwszy raz - powiedział przejęty. - Tylko masz na sobie dużo więcej ubrania.

- Zawstydzasz mnie - powiedziała Arletta trochę niepewnie.

- Lubię, kiedy się wstydzisz.

Uniósł jej brodę i ucałował usta. Poczowała rozkosz ogarniającą jej ciało. Rozpięta suknia ślubna zsunęła się lekko na podłogę. Książę wziął ją na ręce i zaniósł do ogromnego łoża.

Przez chwilę nie rozumiała co się dzieje, czuła tylko dziką ekscytację. Ale wiedziała przecież, że fizyczne doznania to zaledwie ułamek ich wielkiej miłości, bo jej dusza i umysł także należały do niego.

Ułożył ją delikatnie pośród poduszek obszywanych koronkami i okrył prześcieradłem. A kiedy promienie słońca zdawały się zalewać pokój oślepiającym blaskiem, książę położył się delikatnie obok swojej młodziutkiej żony. Arletta drżała z radości, gdy wziął ją w ramiona. Oboje poczuli, jakby w towarzystwie aniołów szybowali ku niebiosom...

- Je t'aime! Kocham cię! - szepnął książę.

Jego usta muskały jej usta, a ręce pieściły ciało. Serca były jak oszalałe.

- Naucz mnie... Ach, naucz mnie miłości - wyszeptała.

Na całym świecie nie było słów, który wyraziłyby ich uczucia. Ale im nie potrzebne były słowa, gdyż ich miłość stworzona przez Boga miała trwać wiecznie.